



KWARTALNIK KULTURALNY TOWARZYSTWA PTAAK | NR 3 (3) CZERWIEC 2017

Kulturalnik Poznański



POMNIKI (WARTE) POZNANIA

Poznańskie Krzyże

W tym roku mija już 61. rocznica Poznańskiego Czerwca – najbardziej krwawych wydarzeń w powojennej historii miasta. Z tej okazji na naszych łamach przedstawiamy nieco bliżej Pomnik Ofiar Czerwca 1956, znany też pod nazwą Poznańskie Krzyże.

Monument znajduje się w sercu miasta – placu Adama Mickiewicza, w sąsiedztwie Auli UAM z lewej i Zamku po prawej stronie. Monumentalny obelisk został oficjalnie odsłonięty podczas obchodów 25. rocznicy Poznańskiego Czerwca (Czarnego Czwartku) tj. 28 czerwca 1981 roku.

Prace związane z jego budową w dużej mierze odbywały się w zakładach HCP, a sam pomnik stanął na placu 19 czerwca 1981. Ostatnie prace skończyły się jednak na dwa dni przed uroczystością odsłonięcia monumentu.

Za projekt pomnika odpowiada rzeźbiarz Adam Graczyk i architekt Włodzimierz Wojciechowski. Monument składa się z trzech zasadniczych części – dwóch przesuniętych względem siebie krzyży, z których wyższy mierzy aż 21, a niższy 19,5 metra oraz rzeźby głowy orła ze złamanym skrzydłem o wysokości około 7 metrów. Krzyże zostały połączone poprzeczną belką o długości 10,4 metra przywiązaną do nich węzłami. Głównym materiałem wykorzystanym do budowy pomnika jest stal. Na wyższym krzyżu widnieje rok 1956 symbolizujący rzecz jasna Poznański Czerwiec, na mniejszym

umieszczone są daty 1968, 1970, 1976, 1980 i 1981, będące nawiązaniem do kolejnych ważnych wystąpień polskiego społeczeństwa przeciwko systemowi komunistycznemu.

Na monumencie z głową orła widnieją następujące napisy: „Za wolność, prawo i chleb”, „Czerwiec 1956”, a także „Za Boga”, dodany dopiero w roku 2006, chwilę przed obchodami 50. rocznicy wydarzeń czerwcowych.

Należy też wspomnieć, iż pod Poznańskimi Krzyżami z młodzieżą spotkał się Jan Paweł II podczas swojej drugiej wizyty w stolicy Wielkopolski (3 czerwca 1997). Nie ulega najmniejszej nawet wątpliwości, że Poznańskie Krzyże na stałe wpisały się w krajobraz miasta i stanowią podobnie jak choćby Katedra, iglica MTP, koziołki z ratusza, Aula UAM czy opisywana w tym numerze... kolejka Maltanka jeden z wielu symboli Poznania.

tekst i zdjęcia Bartosz M. Kaj





SŁOWO WSTĘPNE

Szanowni Czytelnicy

Brak dotacji z Urzędu Miasta Poznania spowodował, iż sprawa wydania trzeciego numeru „Kulturalnika Poznańskiego” zawisła na włosku. Lecz, jak śpiewał Czesław Niemen: „*ludzi dobrej woli jest więcej i mocno wierzę w to, że ten świat nie zginie nigdy dzięki nim*”. Dzięki takim osobom mogą Państwo właśnie czytać trzeci numer „Kulturalnika Poznańskiego”. W tym numerze znajdują Państwo relację z niezwyklego koncertu zespołu Lombard w Poznaniu i wywiad z Grzegorzem Stróżniakiem, liderem Lombardu. Przypomnimy Kabaret TEY, a pretekstem do tego był występ Aleksandra Gołębiowskiego w Jeżyckim Centrum Kultury.

W naszej galerii będzie można zobaczyć uroki Parku Sołackiego oraz bliżej poznać pomnik Czerwca 1956. Natomiast miłośnicy żelaznych szlaków będą mogli poczytać o Mal-tance.

Miłośnikom teatru polecamy omówienie spektaklu „Ambona ludu” przygotowane przez Andrzeja Górnego, a także rozmowę z Andrzejem Górnym na temat scenariusza, który ma szansę stać się książką, zamiast filmem. Ponadto polecamy zapowiedzi i relacje z ciekawych wydarzeń oraz felietony naszych autorów.

Przy okazji zapraszamy do współpracy osoby, które chcą i umieją pisać o kulturze – felietony, recenzje czy wywiady z twórcami. Naszą ofertę szczególnie adresujemy do studentów dziennikarstwa, polonistyki oraz kierunków artystycznych.

„Kulturalnik Poznański” wychodzi na przeciw tym, którzy twierdzą, że w Poznaniu nic się nie dzieje – informujemy o spektaklach, koncertach, wystawach i ciekawych wydawnictwach, szczególnie, jeśli są dziełem poznańskich artystów. Jednocześnie chcemy sprowadzić na ziemię osoby, które uważają Poznań za miasto kultury. Niestety nasze miasto nie wykorzystuje potencjału miejscowych twórców.

Czy i kiedy ukażą się kolejne numery „Kulturalnika Poznańskiego” zależy od wielu czynników. Mamy jednak nadzieję, że nasze czasopismo przypadnie Państwu do gustu i będą Państwo czekać na kolejne wydania oraz zaglądać na naszą stronę internetową kulturalnikpoznanski.blogspot.pl oraz na nasz profil na Facebooku. Wtedy możliwe będzie, że uda nam się rozwinąć i zaistnieć na dłużej.

Michał Sobkowiak
Redaktor Naczelny

Wydawca – Polskie Towarzystwo Artystów, Autorów, Animatorów Kultury PTAAAK,



Redakcja

Redaktor Naczelny: Michał Sobkowiak

Główny fotograf redakcji: Bartosz M. Kaj

Stali współpracownicy: Hieronim Dymalski, Andrzej Górny, Dominik Górny, Andrzej Wilowski, Krzysztof Wodniczak

Kontakt: redakcja.kulturalnik@gmail.com

Druk:

Druk Drukarnia GRAFIKON Wojciech Konowalski

Nakład: 500 egzemplarzy

SPIS TREŚCI

SŁOWO WSTĘPNE	1
WODNIKI – POMOSTY ŚWIATA MUZYKI I NASZEJ CODZIENNOŚCI	3
FARIDA, ACH FARIDA	4
KONCERT FARIDY W POZNANIU	5
O BŁĄDZENIU – MOŻE Z KONIECZNOŚCI, BO INNYMI NIE POTRAFIMY BYĆ?	6
KABARET TEY – LEGENDA Z POZNANIA	9
ALEKSANDER GOŁĘBIEWSKI W KLUBIE DZIENNIKARZA	11
MYŚLĘ, ŻE NAJWIĘKSZE BURZE JUŻ ZA NAMI – Z GRZEGORZEM STRÓŻNIAKIEM ROZMAWIA MICHAŁ SOBKOWIAK	12
LOMBARD „SZARA MAŚĆ”	14
KĄCIK POEZJI	16
LOMBARD W OPERZE	18
DAĆ PRZYKŁAD	19
POMOC, KTÓRA NIC NIE KOSZTUJE	19
PRESLEY ZNOWU GRA	20
WŁOCH W POZNANIU – THOMAS GROTTA	21
JAK TO ZROBIĆ, PROSZĘ O INSTRUKCJE	22
POZNANIAK ROBI KARIERĘ NA ANTYPODACH	23
ZBIGNIEW ROTH – JUBILEUSZOWY MINIWYWIAD	24
60-LAT STAŻU ZBIGNIEWA ROTH	25
ANNA JANTAR	26
ANDRZEJ ELLMANN	28

WODNIKI – POMOSTY ŚWIATA

MUZYKI I NASZEJ CODZIENNOŚCI

„WODNIKI to statuetki unikatowe, mające wymiar bardzo osobisty, a jednocześnie cieszące się szacunkiem i prestiżem w wielu środowiskach opiniotwórczych” – mówili tegoroczni laureaci nagród, których pomysłodawcą i ofiarodawcą jest redaktor Krzysztof Wodniczak, wieloletni animator kultury, promotor polskich artystów, inicjator Wielkopolskiego Porozumienia Dziennikarzy. Statuetki wręczył podczas koncertu włoskiej piosenkarki Faridy, 22 kwietnia br. w Sali World Trade Center na Międzynarodowych Targach Poznańskich.

DOMINIK GORNY, ZDJĘCIE HIERONIM DYMALSKI

WODNIKI to niepowtarzalne dzieła sztuki wykonane własnoręcznie talentem i twórczą pasją artysty rzeźbiarza Kazimierza Rafalika. Przyjęli je tym razem: Farida – za niesamowity głos i charyzmatyczną osobowość; Ewelina Rajchel za bardzo wnikliwe podejście do wokalistyki; Przemysław Lisiecki jako najlepiej swingujący perkusista i członek zespołów Wojciecha Skowrońskiego; Janusz Musielak za działalność edukacyjną i nagraniową, Jan Petera za bezinteresowną pomoc w realizacji koncertów oraz Dominik Górny za twórczość muzyczną, poetycką, aktorską i emanację wrażliwości. Zgodnie z tradycją „Rodziny Wodnika”, do jej grona dołączyli przedstawiciele młodego pokolenia ludzi kultury jak i wytrawni twórcy. Przypomnijmy, w ostatnim dziesięcioleciu, laureatami zostawali m.in.: Krystyna Prońko, Halina Frąckowiak, Józef Skrzek, Wojciech Korda, Dionizy Piątkowski, Grzegorz Kupczyk, a pośmiertnie Krzysztof Klenczon i Czesław Niemen Wydrzycki. Różnorodność osobowości nagrodzonych WODNIKAMI w dynamiczny sposób obrazowały tonacje głosu Faridy, która dla poznańskiej publiczności zaśpiewała z miłości i dla miłości... Gesty i mimika sycylijskiej gwiazdy każdą z wyśpiewanych nut przemieniały w małe słońca, z których rodzi się źródło twórczej żarliwości. Dramatyzm, ale też i dostojne ciepło piosenek w scenicznej kreacji największej miłości Niemena, bisowały przyspieszonym rytmem serca słuchaczy. Te piosenki były dawne, ale i młode, skromne to znów podry-



wające do tańca ciała z duszą. Po koncercie, pewna starsza pani z trzeciego rzędu, która przyjechała spoza granic Polski, podszła do mnie i pogratulowała. Skłoniło mnie to do refleksji, iż przyznanie WODNIKÓW podczas tego rodzaju wydarzenia, ukazuje te nagrody jako pomosty między-

narodowych kultur. Spełnia wartość bezcenną – jedność tak ważną dla budowania relacji personalnych i scenicznych, które w świecie muzyki nazywają się harmonią. W świecie codziennym – poczuciem szczęścia. I właśnie pojednania tych dwóch światów wtedy doświadczyliśmy •

FARIDA, ACH FARIDA

Tuż po koncercie – recitalu FARIDY otrzymałem od uszczęśliwionego słuchacza Sebastiana Nowakowskiego krótki liścik, który przytaczam w całości. "Wszyscy wyszliśmy zachwyceni, a energia Faridy chyba jeszcze długo będzie nas niosła.

KRZYSZTOF WODNICZAK,

Naszą grupę połączyła MUZYKA, a ściślej udział w teleturnieju Jaka To Melodia. Nie mieliśmy okazji obserwować Faridy w czasach jej świetności, ale po tym co wczoraj zobaczyliśmy i usłyszeliśmy zgodnie stwierdziliśmy, że ta świetność absolutnie nie minęła. Dotąd ja przynajmniej uczestniczyłem w większych koncertach, ale po wczorajszym dniu zacząłem dostrzegać wartość takich kameralnych muzycznych spotkań i recital Faridy jest dla mnie bodźcem, niezapomniany. Serdecznie pozdrawiam Pana i proszę przekazać pozdrowienia również Faridzie, aby pójść teraz tą muzyczną drogą. Dla mnie ten wieczór na pewno pozostanie niezapomniany. Serdecznie pozdrawiam Pana i proszę przekazać pozdrowienia również Faridzie".

Co mnie pozostaje? Tylko kontynuować wskazany alegorytm przez Sebastiana Nowakowskiego. Narracja przez niego zaproponowana powinna być kontynuowana, posłużyć jako asumpt do użycia podobnych przymiotników. Powiedzieć, że koncert był świetny to jakby nic nie napisać. Bo to było coś więcej niż koncert. Mogę śmiało napisać, że była to taka namiastka muzycznego misterium, święta wokalistyki, które można wyczarować z instrumentu jakim jest głos. Ile można wyśpiewać uczuć, refleksji, wzruszeń – pokazała nam Farida. Do tego trzeba nie tylko kilkudziesięciu lat spędzonych na estradzie i studio nagraniowym, ale czegoś więcej czyli nieprzeciętnego talentu, miłości do muzyki (i tego NAJWAŻNIEJSZEGO MUZYKA) i osobistego jej przekazywania. Jeśli to wszystko połączy się z perfekcyjną techniką wokalną, to można przekazać słuchaczom wszystko, co

w duszy gra. I słuchający bez wątpienia przekaz dosłyszają i doceniają.

Włoska Artystka FARIDA ma w Polsce, a szczególnie w Poznaniu liczne grono melomanów, którzy nie mogli się doczekać na muzyczne rendez vous z wielką miłością Czesława Niemena Wydrzyckiego.

Tym razem był to 90 minutowy recital, włoskiej Gwiazdy, która zaprezentowała swój nowy, oryginalny program. Od lat Farida pozyskuje nowych fanów i niecierpliwie oczekuje na spotkania ze swoimi melomanami.

Spotkania z polskimi wielbicielami Jej talentu mają wieloletnią tradycję. Począwszy od występu na festiwalu w Sopocie i otrzymaniu tam Nagrody Dziennikarzy, poprzez ogólnopolską trasę „Niemen przedstawia Faridę” i wydanie przez Polskie Nagrania winylowej płyty długogrającej. Pod koniec XX wieku, Farida przestała śpiewać, zajęła się robieniem biżuterii, kolczyków, projektowaniem kapeluszy, ale po śmierci Czesława Niemena Wydrzyckiego – wzmożyła swoją aktywność w Polsce.

Często odwiedza nasz kraj, który uważa za swoją drugą ojczyznę. Nie tylko koncertuje, ale też nagrywa nowe płyty, zapraszana jest do występów w programach telewizyjnych, swoje nowe songi zamieszcza na youtube.

Jej kariera przeżywa nieustający progres. Przypomnijmy, że zaczynała jako piosenkarka nie stroniąca od kreatywnego ryzyka. Pozostała wierna swej pieczołowicie wypracowanej stylistyce. W jej śpiewie wyzwolony zmysł audiowizualny, który trochę przypomina surrealistyczną wrażliwość z filmów Davida Lyncha. Wyda-

je się współgrać z oryginalnym podejściem duetu kompozytorsko – słownego udowadniając, że muzyka popularna ma do zaoferowania więcej niż się niektórym wydaje.

Program koncertowy Faridy można było podzielić na dwie części niby na zasadzie dialektycznej zasady przeciwieństw, a jednak w pewnych momentach tożsame. A to dzięki jej timbree głosu i niebywalej artykulacji w niskich półtonach. Wprowadzenie niezbędnych ornamentów głosowych, często wtapiających się w alikwoty i nieokielzaną z pozoru fermatę z jej wszelkimi odmianami przybliżyło słuchaczy do jakże wymownej cody, nad którą potrafiła zawsze zapanować. To wielki dar i umiejętność balansowania nad typem ekspresji. Poniosła tym samym szczętnie naszkicowaną dramaturgię koncertu. A słysząc, że włączyła do swojego recitalu utwory z rep. Janis Joplin (Hurt, Cosmic Blue, Peace of my heart) nie można było oprzeć wrażeniu, że Farida jest dysponentem jednego z najznakomitszych głosów w Europie.

Najnowsza płyta CD, jaka była w sprzedaży podczas tej trasy koncertowej prezentuje kompozycje jej męża Americo Colaprisco do słów Concetti Gangi (Faridy). Muzyka posiada szczególnie piękne melodie, bogate harmonie w interpretacji wrażliwej Artystki. Więcej, zaskakuje rozmachem i ponadczasowym ujęciem dźwiękowym. To nie jest adoracja prostych melodii i słów, lecz dla wrażliwych i poszukujących inspiracji.

Wychodząc z recitalu Faridy z sali Word Trade Center mogę stwierdzić, że mój apetyt na wiosenną muzykę został w pełni zaspokojony... •

KONCERT FARIDY W POZNANIU

To już trzecia wizyta włoskiej piosenkarki w Poznaniu w ostatnich latach. Tym razem Farida postanowiła w mieście zatrzymać się na dłużej, od jesieni ubiegłego roku mieszkając w Poznaniu wyjeżdża na koncerty do różnych miejscowości.

ANDRZEJ WIŁOWSKI, ZDJĘCIE HIERONIM DYMALSKI

W Polsce ma wierną publiczność, choć nie pokazuje się w ogólnopolskich mediach. Pokolenie bigbitowców pamięta ją z występu na festiwalu w Sopocie, gdzie w 1971 roku zdobyła główną nagrodę. Polskie Nagrania wydały jej długogrającą płytę i tym sposobem nie znana szerszej publiczności w rodzinnym kraju, włoska piosenkarka stała się w Polsce gwiazdą. Polskiej publiczności niezmiennie kojarzy się z Czesławem Niemenem. Po ich burzliwym związku z lat siedemdziesiątych pozostało wspomnienie, ale czy wielbiciele Niemena wiedzą, kim jest Farida dziś? Mieli okazję się o tym przekonać tłumnie przybyli na koncert w kwietniu na terenie targów w Sali WCT.

Recital Faridy składał się z trzech części i miał charakter przekrojowy. Przypomniała swoje najpopularniejsze piosenki, zaprezentowała nowy repertuar i swoje interpretacje rockowej klasyki.

Z akompaniamentem Daniela Troczewskiego na instrumentach klawiszowych przypominała: „Vedrai, vedrai”, „Pensami stasera”, „Rudolfo Valentin”o.

Z ostatniego albumu, nagranych w 2015 roku: „Eccoci Qua”, „Abbrutta”, „Le mie radioci”. Tym razem bardziej nostalgiczne i dramatyczne songi, iż przeboje.

W antrakcie poprzedzającym trzecią część koncertu Krzysztof Wodniczak po raz kolejny wręczył swoje prywatne nagrody Statuetki WODNIKI. Od dziesięciu lat podczas imprez kulturalnych uhonorowuje on artystów jak mówi, którym coś zawdzięcza. Takie statuetki otrzymali już m.in. Krystyna Prońko, Halina Frąckowiak, Józef Skrzek, Wojciech Korda, Grzegorz Kupczyk, Piotr Kałużny, Dionizy Piątkowski pośmiertnie Krzysztof Klenczon (odebrała siostra Hanna Klenczon) i Czesław Niemen Wydrzyc-



ki (odebrał brat stryjeczny Artysty Romuald Juliusz Wydrzycki). Tym razem w kwietniowym „rozdaniu” Wodniczak przekazał statuetki wykonane przez Kazimierza Rafalika poznańskiego rzeźbiarza włoskiej piosenkarki, muzie Czesława Niemena Wydrzyciego Faridzie, za „niesamowity głos i charyzmatyczną osobowość”. Kolejne OSOBY jakie dołączyły do Rodziny WODNIKA to: Ewelina Rajchel za bardzo wnikliwe podejście do wokalistyki, Dominik Górny za twórczość poetycką, muzyczną, aktorską i emanację dobra w jego twórczości, Przemysław Lisiecki jako najlepiej swingujący perkusista i członek zespołów tworzonych przez Wojciecha Skowrońskiego, Janusz Musielak za działalność edukacyjną i nagraniową oraz Jan Pera za bezinteresowną pracę jako wytrawny realizator koncertów.

W ostatniej części Farida zaprezentowała się w repertuarze Janis Joplin. Okazało się, że te standardy białego blues-rocka są najbliższe

jej temperamentowi, barwie głosu. A gdzie włoskie belcanto? Mocny, ale chrapliwy głos z charakterystycznym vibrato, modulacje i zmiany dynamiczne nie pasują do Sanremo i italo-disco. Wszystko razem powoduje, że Farida odstaje od włoskiego kanonu estradowego. W tej części wsparli ją muzycy; Daniel Troczewski na instrumentach klawiszowych, gitarzysta, Janusz Musielak, Przemysław Lisiecki na perkusji, i Americo Colapristo na gitarze basowej. Kiedy publiczność usłyszała: „Hurt”, „Cosmic Blues” i „Peace Of My Heart”, poczuła się jak w latach siedemdziesiątych. Jak w rondzie, wracamy do pierwszych tematów, korzeni współczesnej muzyki rozrywkowej. Farida się zmienia, nowy repertuar, bliższy kanonom piosenki literackiej i teatralnej, zmienia się jej głos, co naturalne, ale pozostaje utrzymany wizerunek sceniczny, temperament wykonawczy i miłość dla publiczności. Wytrwałość przez tyle lat na estradzie jest godna podziwu i najwyższego szacunku. •

O BŁĄDZENIU – MOŻE Z KONIECZNOŚCI, BO INNYMI NIE POTRAFIMY BYĆ?

(„Ambona ludu” Wojciecha Kuczoka w reżyserii Piotra Kruszczyńskiego w Teatrze Nowym w Poznaniu)

ANDRZEJ GÓRNY, ZDJĘCIA JAKUB WITCHEN

Jaki to las, chce mi się od razu pytać, bo przed nami na scenie sterczą gęsto tylko kikuty ogołoconych z liści brzoź i na dodatek jakby z różnych wiekowo lasów. A całe bogactwo listowia widać, że opadło dawno i wygląda, że są to już raczej leśne śmieci walające się na ziemi, i jeszcze zdeptywane, czy mimowolnie przekopywane nogami ludzi łączących bez przerwy w tę i z powrotem, jakby nie mieli innego sposobu na zadomowienie; i jest tak wszędzie, bo wszędzie ten sam las, i to samo każdego własne życie.

Z konieczności łązą szukając odpowiedzi, co by utwierdziła w tej, należytą jakby z przyrodzenia, samowiedzy. Jest tych ludzi nurkujących i poniekąd błakających się w leśnej gęstwie życia sporo. Tak zarysowująca się bardzo nietrwale społeczność leśnego życia, skazana jest na ciągłe szukanie kontaktu, a w warunkach w jakich ich egzystencja się dokonuje, wygląda to dość dziwnie. Bo drzew tu bez liku, i najczęściej tylko migoczą sobie między nimi, przystając lub potykając się o siebie i każdemu coś się udaje na moment widzieć, czy powiedzieć dosadnie, choć za chwilę już w innych są okolicznościach. Więc czy zdążą się zestroić tak naprawdę jeden z drugim? Czy jest szansa na jakieś rzeczywiste wspólne razem – i naprawdę im o to chodzi? Bo to, że często zostaje się tutaj samemu – to jedyne, czego można być pewnym.

Więc przede wszystkim w swej własnej racji chcą się umacniać, lecz ze względu na to, że sytuacja tak ciągle inna, nieoczekiwane każdemu w gęstwie leśnej się sama nawija trudno, żeby coś konstruktywnego, trwałego mogło się między nimi rodzić i stąd praktycznie na nic przygotowanym właściwie się nie jest. Chociaż jednocze-



śnie toczy im się życie na ogół bez wielkich zmian, ciągle tak jak było wczoraj czy przedwczoraj, tym bardziej, że jest się przynajmniej w podobnych warunkach, czyli dokoła zawsze tylko las, w który trzeba brnąć, to znaczy przemykać się między drzewami. I każdy pozostaje ze swoimi przypadłościami, choćby urazem zwykłym czy kalectwem. Nazywa się to w końcu swoim losem, podnosząc tym samym swe życie do godności, i chyba w aurze takiego myślenia lepiej im się znika w leśnej gęstwie, tyle że pozostaje jakiś ślad, co z pamięci trudno potem szybko usunąć. Nie inne, jakby dostosowujące się do tych warunków, są potem ich kontakty, czy wzajemne odzywki, często lakoniczne, krótkie, rzucane w leśną ciszę, nawet czasem bez oczekiwania na odpowiedź, a tym bardziej

satisfakcję. I staje się to gadanie trochę powoli, „od Sasa do Lasa” – bo po prostu słowem takim, co w danej chwili do głowy jednemu czy drugiemu przyjdzie, więc dłuższego żywota nie będzie miało, i obce pozostanie, choć powiedziane zostało. I znaczenia, czy wartości w tym tyle, ile w samotnym łażeniu ta swoboda myślenia jednemu czy drugiemu będzie przynosiła – bo przecież za chwilę każdy już gdzie indziej, jeśli nawet nie fizycznie, to myślami na pewno coraz śmielej, bo gęstwa dokoła sprzyja. Więc niekończący się z tego zamęt, żadnego porządku, ani śladu hierarchii, a więc i ładu. Wystarczy wtedy tupet, bezczelność tego czy owego, i tym zaskoczy jak racją – tych, którzy czego innego oczekiwali.

Pozostają wtedy tylko nieustające próby sklepania rozklejających się myśli, skojarzeń.

Można jednak sobie powiedzieć, że zle-go za wiele w tym być nie może, co najwyżej po swojemu każdy będzie to rozumiał, a gęstwa leśna dokoła wszystko wchłonie. Ale w sumie kocioł gadania zdąży się zrobić strasznie mylny, do bezsensu zrównując rzeczywiste różne znaczenia. Wtedy uparty może iść w tak zwaną „swoją stronę”, i znika jeden drugiemu między drzewami.

Trener (Aleksander Machalica) w swym wędrowaniu będzie czuł, pomimo wszystko, że jest po swojej stronie, i rozmowa żadna nie naruszy zamknięcia w sobie, którego bro-ni; i jest niczym w twierdzy, kiedy wędrując po lesie, ma głębokie poczucie swojej pewności siebie, choć z trudem mu się chodzi. Zdarza się, że ktoś jakby po łebkach zdarzeń barwnego dziania się będzie skakał, jak Dziennikarka (Karolina Głąb): od zdarzenia do zdarzenia – jak w przygodę, rzecz można, i w swoistym słowotoku popłynie, niczym w szybkim filmie, by uczestniczyć w tym co z daleka widziała, gdzie była, lub tylko słyszała, i wszystko to razem u niej się łączy, niesie się jej szybką mową, jak do tańca, wynosząc ponad jednostajne leśne życie, i przynosi złudzenie osobności, czy wyzwolenia. Przychodzi nawet chwila, że ni stąd ni zowąd pocałuje nagle, bo czar życia przy każdym jej kroku może się zdarzyć, w jej zawodzie tym bardziej. Jest też Urzędnik (Zbigniew Grochal), chce on mocno zaistnieć, i nachodzi go, żeby zrobić nagle coś pozytywnego dla innych, choć to jedynie ochota i zamiar, bo w istocie nic z tego nie wychodzi. I każdy swój monolog ciągnie, choć powtarza też innych. Jest zapalony miłośnik boksu (Marcin Kalisz), który ćwiczy energicznie sprawność sam ze sobą, by przekonać siebie w jak świetnej jest formie, by dać sobie poczucie prawie już odniesionego zwycięstwa, choć żadnej walki jeszcze nie było; Aktorzyca (Maria Rybarczyk) prześladowana dolegliwościami, a jednak w końcu przymierza się do postaci Racheli z „Wesela”, zapewne by poczuć się także, jak tamta, władczynią wyobraźni, co ponad rzeczywistość wzlatuje, choć widzimy ją w istocie ciągle w lesie pogrążoną po uszy, jak inni. Na ogół zresztą owi mieszkańcy lasu ze swadą, czy z pretensjami wobec życia, usiłują



ją się po równi odnaleźć w gęstwie leśnej, by koniecznie się zadowolić, nie bacząc na swe uplątanie, co i tak stanowi o ich życiu, bo alternatywy tak naprawdę wcale nie widać. Można by nawet powiedzieć, że siłą rzeczy, ten las w jakim są pogrążeni, jest właściwie nieprzenikniony, choć niby swobodnie w nim łążą. My jednak czujemy tymczasowość tego, co widzimy, co dzieje się na każdym kroku, i odkrywamy z wolna iluzoryczność ludzkich działań, czy także wyobrażeń o sobie, swojej sytuacji. Może dlatego sytuacje w tej leśnej gęstwie kierują ich siłą rzeczy tak często do siebie samych, bo wszystko dość przelotne, i zawsze nie do końca. Prześwieca wprawdzie cały czas między drzewami, w głębi, ambona leśna, nie żeby z niej strzelać do zwierząt, lecz żeby umożliwić wgląd w leśne życie, by je badać, doszukiwać się w nim miejsca dla siebie, czy to gdzie oni są, jest naprawdę takim, jak to widzą. Początkowo widać, że ktoś tam raz po raz na górę jeszcze wchodzi, ale żadnych, widomych dla nas znaków, że bezład toczącego się życia można dzięki temu ogarnąć, i nadać biegowi rzeczy docelowy budujący sens. Ten las życia, ciągle utwierdza w tym samym, bo jest zbyt gęsty, rozległy, i są w nim tylko trochę inne widoki, w in-

nym miejscu, ale spotkania, konfrontacje – w istocie podobne, a ich sens pozostawia uczestników w samotności swoich poszczególnych działań, i tym samym w ogólnym błędzeniu jak chodzą i co mówią.

Choć znajdzie się znowu taki, co nagle się podrywa, by przerwać bezwład czy stagnację. Z tym, że odruch ten stał się już do pewnego stopnia rutyną. Ale trudno, chce się ruszyć z miejsca, i choć Dyrektor Teatru (Waldemar Szczepaniak) nie kryje zdystansowania, pojawia się Reżyser (Mateusz Ławrynówic) – elokwentny, czarodziejsko sugestywny wizjoner, od razu zapowiada swe działania, jako ciąg atrakcyjny zdarzeń, co przydadzą dynamiki ich widzeniu i sama rzeczywistość zatętni prawdą porywającą człowieka bez reszty. Ale i z tego nic nie wychodzi. Widzimy zresztą, że niektórzy dają sobie raz po raz chwilę relaksu i na swój sposób biwakują; leżakując, mając chwile luzu w leśnej gęstwie, nawet wobec własnego narzekania. Ale nie jest to odpoczynek, który człowieka pozytywnie ładuje; są to jedynie chwile bezwolności, a gęstwa wokół tylko ucisza i jeszcze bardziej spowalnia, a nie usposabia do działania (wyraźnie daje nam to poznać Terapeutka Małgorzata Łodej-Stachowiak). A kiedy pojawiają



się momenty wigoru, zdawałoby się chwili bliskiego kontaktu, nie prowadzi to do rzeczywistej komunikacji, do istotnych rozmów, czy choćby zwykłych refleksji, wyrznięć o sobie czy sytuacji. Pozostają nam w pamięci jedynie postaci ciągle migoczące między kikutami drzew, pozbawionymi swej naturalnej urody. A u tych pojawiających raz po raz na ambonie – bo można ich dostrzec między drzewami – także cisza kompletna. W istocie wygląda na to, że kontakty z drugim są najczęściej jedynie pretekstem, by wyrzucić ze siebie to co najłatwiej przychodzi na myśl, i stanowi to odpowiedź w gruncie rzeczy dla siebie, pozwalając utwierdzić się w tym, na czym każdemu z błąkających się w lesie życia po prostu bardzo zależy, to znaczy żeby wyrzucić wrażenie jak nie na drugim, to koniecznie na sobie i tworzyć złudzenie, że wcale nie jest się bezwolnie błąkającą się osobą.

W sumie widzimy na scenie obraz życia na podobieństwo jawiącego się majaku, który jest niby czymś zupełnie normalnym, i wszystko staje się dla nas jasne dzięki temu, że przedstawienie jest precyzyjnie dopracowane do realistycznego szczegółu przez reżysera, Piotra Kruszczyńskiego, i cały zespół aktorski. Ogromnie celne przedstawienie, rezygnujące z typowych walorów z reguły budujących teatr na scenie. Bo tym razem teatr skazuje się w przedstawieniu konsekwentnie, i dosłownie, na wręcz nieteatral-

ną prostotę, czyli tak zwaną „szarą rzeczywistość dnia”, na to rozmazanie ludzkiego dramatu, który nie bardzo jest zdolny złożyć się w całość, taką jaką chcielibyśmy rozumieć czy kochać, albo być przynajmniej blisko, łączyć się z nim drżeniem serca – a w dodatku zaprawione jest to jeszcze rozchwianiem języka, z którym w tym scenicznym lesie poczyna sobie zuchwale ludzka głupota wynosząca się na wyżyny, które w istocie dla niej nie są osiągalne. Tym bardziej na ambonie, gdzie niektórzy dostąpili tej możliwości, a oni po prostu milczeli. Nie byli w stanie niczego sensownego powiedzieć o tym co widzą. I tak otrzymujemy obraz tego co się dzieje właściwie na granicy, z pozorów, niewinnego koszmaru, który objawia się nam tak bardzo wstrzemięźliwie. Autor dał tu teatrowi świetny materiał do roboty, gdy oto zwyczajność dezorientując swą pewnością siebie, podnosi głowę by urastać do roli bohatera, na co jednak zupełnie nie ma szans. Musiał więc zdarzyć się w przedstawieniu moment, kiedy Teatr wymierza tej rzeczywistości krótki, choć należny policzek, sygnalizując sprawiedliwą ocenę na jaką trzeba się zdobyć, nawet jeśli się wydaje, że jest już za późno. I tak się po części stało. Policzek ten został wymierzony nie na końcu przedstawienia, lecz błysnął nagle zaskakująco w gęstwie leśnego życia i to właśnie z leśnej ambony, gdzie znalazła się w pewnej chwili wreszcie kompetent-

na osoba, bo pani Profesor Daniela Popławskiej – relacjonująca wyniki swego badania społeczności w tramwaju – wygłaszanego, jak słyszymy, z całą naukową pedanterią. Ale w czasie tego szczególnego sprawozdania Pani Profesor traci powoli przekonanie, że jej analityczny opis jest wystarczający, że coś istotnego załatwia i nie rozmija się bezradnie z tym wszechobecnym na scenie całkowicie rozlazłym szaleństwem rzeczywistości. Ona rozumie już, że co innego powinna była powiedzieć, że zawiodła jako badaczka rzeczywistości społecznej. Więc powoli milknie i już tylko patrzy na nas, zapadając się jeszcze w sobie, dosłownie kurcząc się na twarzy – i to stało się nagle mocnym w nas uderzeniem. Bo przecież nie było się gdzie cofnąć przed jej twarzą. I miało się wrażenie, że niby tylko nas prosi, abyśmy zrozumieli, i jej wybaczyli, że swej roli nie dopełniła, a my wreszcie pewni tego, co należy sobie powiedzieć o tej rzeczywistości i zrobić coś, aby było inaczej – kiedy my niczego przecież zrobić nie potrafimy. I trzyma nas długo tak wzrokiem w swoim bezsilnym milczeniu, na miarę bezwolnie upadającej w jej oczach rzeczywistości. Choć Pani Profesor ciągle jeszcze na nas liczy, że do trze przynajmniej tą bezradnością i rozpaczą, tak jakby należało. To niezwykła chwila aktorstwa Daniela Popławskiej, aktorstwa żywego człowieka, który chciałby sprostać, a jest z nami blisko i objawia właśnie dziwną, niezwykłą siłę swej bezradności – że nic nie może poradzić, że upada razem z tym wszystkim o czym mówiła i przeciwko czemu jest. •

Teatr Nowy w Poznaniu: „Ambona ludu” – Wojciech Kuczok

Reżyseria i opracowanie tekstu: Piotr Kruszczyński

Dramaturgia: Michał Pabian

Scenografia, kostiumy, reżyseria światła:

Mirek Kaczmarek

Muzyka: Michał Dampc

Asystent reżysera: Krzysztof Weber

Asystenci scenografa: Sandra Stanisławczyk, Krystian Szymczak (Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu)

Inspicjent: Józef Piechowiak

KABARET TEY

– legenda z Poznania

Któż z nas, zwłaszcza gdy ma więcej niż trzydzieści lat, nie zna kultowych wręcz skeczy poznańskiego kabaretu Tey, takich jak „Mamuśka”, „Pelagia” czy „Maluch”? Takich osób jest zapewne niewiele.

MICHAŁ SOBKOWIAK, ZDJĘCIA ADAM BERNARD



Początki Teya sięgają połowy lat 60., kiedy to w Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego w Poznaniu powstała grupa kabaretowa Klops. W 1970 roku została przekształcona w kabaret zawodowy Tey. Pierwszy występ nowego kabaretu odbył się 17 września 1971 roku w sali przy ulicy Maształarskiej w Poznaniu. Różne perturbacje sprawiły, że grupa przez pewien czas występowała w siedzibie harcówki na Boninie (1976 rok). Dzięki wstawiennictwu ówczesnego władarza miasta, Andrzeja Wituskiego, Tey otrzymał 150-osobową salę w kamienicy na

rogu Starego Rynku i ul. Woźnej (Woźna 44). Na szczyt popularności kabaret „wyniosła” opolska „Złota Szpilka” przyznana w 1973 r. podczas Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. Tey pokonał wtedy Salon Niezależnych, Pod Egidą oraz Elitę.

W 1974 roku jeden z założycieli grupy, Krzysztof Jaślar, dostaje zakaz publikacji oraz występów publicznych i jest zmuszony opuścić kabaret Tey. Innym ważnym momentem dla Teya był rok 1978, gdy za Janusza Rewińskiego do zespołu dołączył Bohdan Smoleń. W tym czasie Krzysztof Jaślar i Zenon Laskowik zaczę-

li ponownie współpracować, aby razem stworzyć takie programy, jak: „Narodziny gwiazdy” (1977), „Śpiew, balet, piosenka” (1978), „Z tyłu sklepu” (1980) i „Na granicy” (1980 i 1981).

W 1984 roku nastąpiła zmiana nazwy na Teyatr. W tym też czasie popularność kabaretu zaczęła spadać. W 1988 odbyła się ostatnia seria występów dla Polonii w USA i Kanadzie. Zapis z tej trasy został wydany na płytach i kasetach. W 1989 roku kabaret wystąpił w pełnym sześciuosobowym składzie w Teatrze Wielkim w Poznaniu, gdzie członkowie Teya zaprezentowali nowe wer-



sje starych skeczy (np. „Pani Pelagia”, „Maluch”).

W różnych okresach kabaret Tey tworzyli: Zenon Laskowik, Krzysztof Jaślar, Aleksander Gołębiowski, Janusz Rewiński, Bohdan Smoleń, Rudi Schuberth, Zbigniew Górny

PROGRAMY KABARETOWE

„Czymu ni ma dżymu” (premiera: 17 września 1971), „Wizyta i kwita” (premiera: 1972),

„Humor, skecz, piosenka, wesołe monologi i ktoś z Warszawy” (premiera: 1973), „Diz-lus Ursus Superstar” (premiera: 1974), „Bajka o baraku i Złotej szpilce – czyli pocałujcie nas w usta” (premiera: 1975), „Zbiórka – czyli z rolnictwem na tey” (premiera: 1978), „Na granicy” (premiera: luty 1980), „Przeboje Kabaretu Tey, czyli najlepiej nam było przed wojną” (premiera: 1988), Mimo, iż prawie trzydzieści lat minęło od zakoń-

czenia działalności Teya, dawne skecze są wciąż chętnie oglądane podczas telewizyjnych powtórek lub też w internecie. Wielu miłośników twórczości Zenona Laskowika i „kolegów z Poznania” realia czasów do których nawiązują skecze kabaretu zna z opowieści rodziców lub dziadków. Niektórym skeczom z kolei upływ czasu i zmiana realiów nie zaszkodziły – wciąż pozostają aktualne. •

ALEKSANDER GOŁĘBIOWSKI W KLUBIE DZIENNIKARZA

W czwartkowy wieczór 1 grudnia 2016 w Klubie Dziennikarza mieszczącym się przy Jeżyckim Centrum Kultury na ul. Jackowskiego 5-7 wystąpił Aleksander OLO Gołębiowski, przez lata związany z Kabaretem Tey.

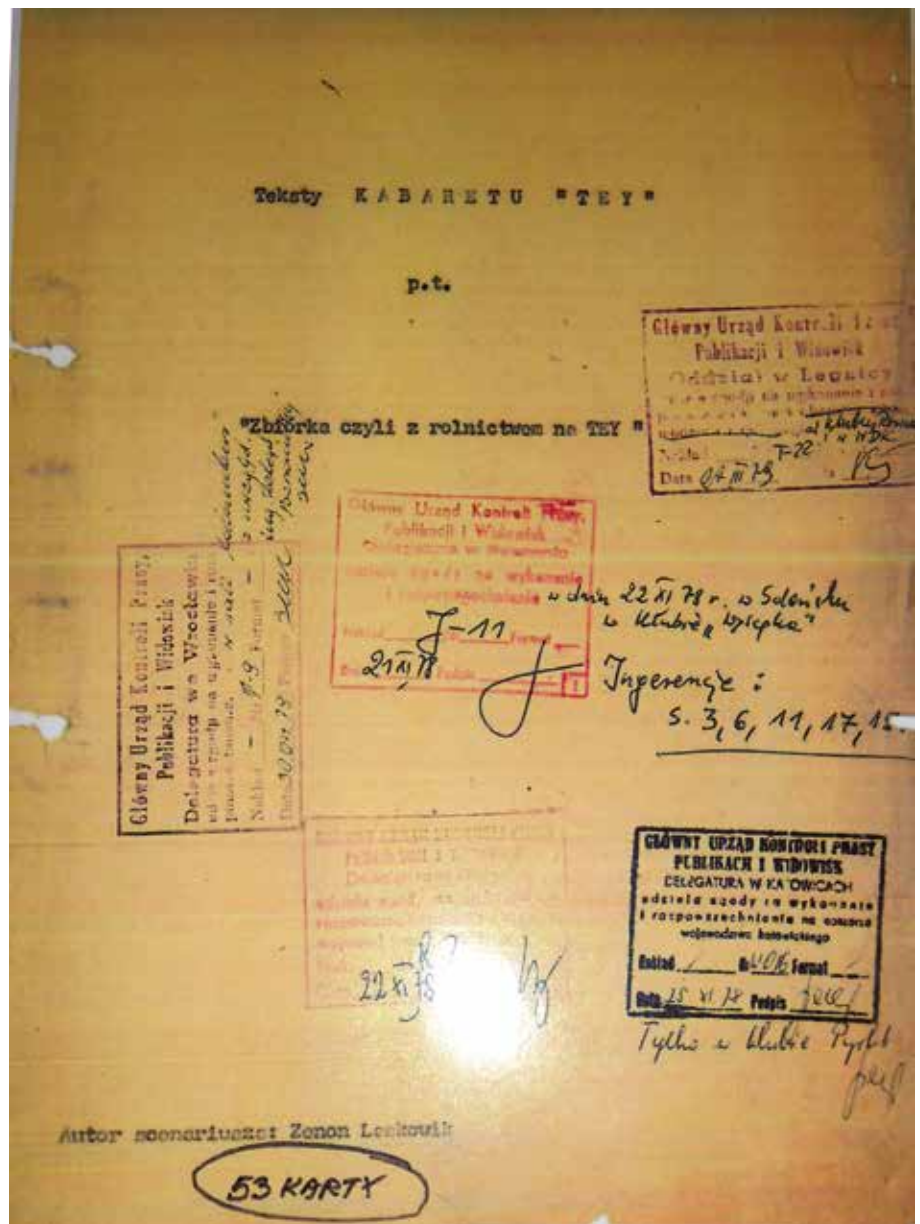
MICHAŁ SOBKOWIAK

Przypomnę, że Aleksander Gołębiowski występował w kabaretach Klops, Tey, Teyatr czy Pod Spodem. Wśród satyryków, którzy przewinęli przez Kabaret Tey, to właśnie OLO najdłużej współpracował z Zenonem Laskowikiem. Przez 15 lat od kabaretu Klops do ostatniej premiery Teyatru dzielnie sekundował i w chwilach naprawdę trudnych nie opuszczał Laskowika.

Program, który zaprezentował Aleksander OLO Gołębiowski, czyli „Gołębnik z PRLu”, poza wtrąceniami komentującymi aktualną sytuację w Polsce i na świecie, oparty był przede wszystkim na monologach i songach z pierwszego okresu Teya (m.in. „Artyści”, „Metamorfoza”, „Dziękujemy Wam”, „Jak my chatę budowali”, czy też wykonywany przez Janusza Rewińskiego „Fiut”). Teksty te mimo upływu czterdziestu lat, wciąż są aktualne, może nawet bardziej teraz niż wtedy.

Dużą część spotkania z OLO wypełniły wspomnienia dotyczące początków współpracy z Zenonem Laskowikiem, Kabaretem Klops i okoliczności powstania Teya. Uczestnicy spotkania dowiedzieli się m.in. dlaczego Krzysztof Jaślar nagle musiał zakończyć występy z kabaretem, jak do Teya trafili Janusz Rewiński czy Bogdan Smoleń, dlaczego kabaret musiał opuścić scenę przy Maształarskiej, a także jak układały się relacje z cenzurą, Komitetem Wojewódzkim i innymi „przyjaznymi” instytucjami.

Po przeszło półtoragodzinnym występie wspomnienia zakończyły się na końcówce lat siedemdziesiątych, gdy do Teya dołączył Bogdan Smoleń, i gdy nastąpiła przeprowadzka na słynną Woźną. Ciąg dalszy nastąpi, więc czekamy na kolejne spotkanie z Aleksandrem Gołębiowskim. •



MYŚLĘ, ŻE NAJWIĘKSZE BURZE JUŻ ZA NAMI

– z Grzegorzem Stróżniakiem rozmawia Michał Sobkowiak

Michał Sobkowiak: Co tam Panie w Lombardzie słychać? Jakie macie plany koncertowe i wydawnicze na najbliższe miesiące?

Grzegorz Stróżniak: Zespół Lombard od wielu lat koncertuje intensywnie, realizując kolejne muzyczne projekty i marzenia. Do naszych corocznych letnich Lombard Show z multimediami, dołączyliśmy spektakl multimedialny „W hołdzie Solidarności – drogi do wolności”, Lombard Swing „Muzyka bez granic” z towarzyszeniem CoOperate Orchestra i Big Bandu Jana Zeylanda, oraz akustyczne Smooth Jazzowe, korzystając z tego, że muzycy, z którymi współpracujemy już od 10 lat, świetnie poruszają się we wszystkich muzycznych gatunkach, choć rock i jazz jest nam wszystkim najbliższy.

Zespół Lombard rozpoczął 36. rok istnienia. Obecny skład jest najdłużej funkcjonującym. Jak Wy to robicie, że Wam się jeszcze chce? Skąd bierzecie motywację, natchnienie?

Po 36 latach pracy z Lombardem, przeżyłem wiele upadków i wzlotów, rozstań, powrotów... Myślę, że największe burze już za nami. Przeboje, które skomponowałem dla zespołu Lombard i piosenki, które wciąż komponuję dają mi możliwość bycia artystą niezależnym. Współpraca z Martą Cugier otworzyła nowy rozdział historii zespołu Lombard, gdyż mentalnie Marta różni się od swoich poprzedniczek. Obydwoje nie mamy parcia na szkle, czy bycia w centrum celebryckiego świata w Warszawie, najważniejsza jest dla nas muzyka i razem od prawie 20 lat jesteśmy producentami wszystkich płyt zespołu Lombard, projektów koncertowych,

muzycznych ekstrawagancji. Muzyka, Lombard jest dla nas najważniejszy. To połączyło nas nie tylko zawodowo, ale również prywatnie.

Ty i Marta liderujecie grupie. Pozostali muzycy pozostają trochę w Waszym cieniu. Może zatem opowiesz coś więcej na ich temat?

Muzycy Lombard’u są znakomitymi, wszechstronnymi, wykształconymi instrumentalistami. Granie jest ich wielką pasją. Poza Lombardem grają w wielu projektach muzycznych w różnej stylistyce. Na co dzień Mirek Kamiński – perkusja i Michał Guma Kwapisz – bas uczą w Szkole Muzycznej przy ulicy Głogowskiej. Obaj mieszkają w Poznaniu. Da-



niel Gola Patalas pochodzi ze Zbąszynia, mieszka w Buczu koło Leszna, gdzie z powodzeniem prowadzi własną działalność gospodarczą. To powoduje, że są również artystami niezależnymi, a graniu z Lombardem nie jest ich być albo nie być. Gramy bo się szanujemy i dobrze nam razem. Sprawdziliśmy się w najtrudniejszych sytuacjach, czego nie mogą powiedzieć o dawnych muzykach Lombard'u. Zdarza się, że wyjeżdżamy wraz z rodzinami na wspólne wakacje. Co roku organizujemy zespołowe urodziny. To zawsze mnóstwo śmiechu i zabawy, bo obecni muzycy zespołu Lombard mają też wielkie poczucie humoru. Zespół Lombard w swojej historii nie istniał w równie zgranej paczce przyjaciół. Zwyczajem naszego zespo-



łu jest to, że dziękujemy sobie po każdym koncercie za wspólne granie.

Lombard to nie tylko muzycy. Często zapominają się o tych wszystkich, którzy pozostają za kulisami. Opowiedz trochę o Waszej ekipie technicznej.

To prawda. Ekipę realizatorów mamy z pierwszej półki. Realizator dźwięku Mirek Wdowczyk posiada własne studio nagrań Sound Temple w Rokietnicy pod Poznaniem. To jeden z najlepszych, wszechstronnych realizatorów w Polsce. Mirek jest naszym przyjacielem, nie szczędzi pochwał, ale i słów krytyki. Po koncertach przeprowadzamy wiele profesjonalnych rozmów, które sprawiają, że koncerty zespołu Lombard są coraz lepsze. Mirek jest również realizatorem naszych płyt: „W hołdzie Solidarności – drogi do wolności”, „ShowTime” i „Swing”. Realizator sceny Łukasz Migdałski to nie tylko znakomity muzyk, kompozytor i aranżer. Migdał jest liderem zespołu Sonus Vena, w którym wraz ze swoją piękną żoną Agatą, wykształconą sopranistką, łączą rockowe granie z klasycznym operowym wokalem. Migdał posiada własne studio nagrań Migdał Mobile Studio. Na scenie jest też naszą „budką suflera”. Kiedy naprawdę jesteśmy zdenerwowani przez odsłuch potrafi powiedzieć nam takie słowa, że od razu zbieramy się w sobie. To przyjaciel, na którego zawsze można liczyć. Nasz realizator sceny Łukasz Jarmuziewicz to gwiazda realizacji światła. Łukasz realizuje największe trasy koncertowe w Polsce, ale Lombard jest dla niego zawsze priorytetem, bo u nas jest przyjacielska atmosfera. Potrafi z niewielkiej ilości światła wyczarować bajkę. Wspaniałe jest to, że nasi współpracownicy kochają to co robią. Razem pracujemy nad kształtem każdego koncertu, scenografią, dostosowując się do możliwości technicznych.

Podczas wywiadu w Radiu Merkury mówiłeś, że myślisz o płycie bardziej elektronicznej. Czyżby miało to być coś na wzór „Szarej maści”?

Taka płyta wciąż chodzi mi po głowie, również dlatego, że mój syn Jakub – DJ Jacobo, jest DJ'em. Myślmy o takim ob-
jechanym projekcie, ale na razie kończy-

my z Martą budowę pracowni muzycznej, w której będę miał możliwość wystawienia całego instrumentarium. Nie będzie li-
tości, pomysłów jest wiele.

Niedawno (30 kwietnia 2017r.) odbył się Wasz koncert w Teatrze Wielkim w Poznaniu. Było to niesamowite przeżycie dla nas widzów, ale było widać, że również dla Was. Jak wspominać ten koncert?

Trudno gra się w domu. Poznań przez ostatnie lata nie był dla nas łaskawy z różnych powodów. Na antenie Radia Merkur-
ry – Radia Poznań Lombard zaistniał dopiero po zmianach przeprowadzonych w radio przez Pana Filipa Rdesińskiego i dzięki Arkowi Kozłowskiemu, dla których ważna jest dobra muzyka, a nie jakieś prywatne układziki. Koncert był dla nas wielkim prze-
życiem. Nie zawiodła rodzina, przyjaciele, fani. Granie z CoOperate Orchestra i Big Bandem Jana Zeylnada, składającym się ze wspaniałych poznańskich muzyków, to dla nas zawsze wielkie muzyczne przeży-
cie. Ciężko pracowaliśmy na to by koncert w Poznaniu mógł się odbyć. Efekt przerósł nasze oczekiwania, a szpaler ściskających nasz gości z kwiatami, prezentami to były chwile, których nigdy nie zapomnimy. Nie poradzilibyśmy sobie również bez wsparcia sponsorów i patronów koncertu, którym za wszelką pomoc serdecznie dziękujemy.

Świetną pamiątką z tego koncertu byłoby DVD. Wiem, że rejestrowaliście go. Jest szansa, że ten materiał trafi w ręce fanów?

Oczywiście jest wielka szansa na to, że materiał ukaże się na DVD. Dźwięk jest w trakcie realizacji w studio Mirka Wdowczyka. Muszę wspomnieć, że grafiki koncertu opracowała Marta Cugier, która od jakiegoś czasu zajmuje się również montażem video. Do tej pory realizowała jednak małe kilkuminutowe formy. Zobaczmy jak poradzi sobie z ogromem zarejestrowanego materiału. Zdecydowanie Marta ma za dużo talentów. ;)

Dziękuję za rozmowę i życzę realizacji wszystkich planów.

LOMBARD „SZARA MAŚĆ”

Zastanawiali się kiedyś Państwo, które płyty poznańskich wykonawców należą do najlepszych, najważniejszych w historii polskiego rocka? Moim skromnym zdaniem jedną z nich jest „Szara maść” zespołu Lombard.

MICHAŁ SOBKOWIAK



Szara maść” to czwarty album zespołu Lombard. Został nagrany w Studio Polskiego Radia „Giełda” w Poznaniu, co jeszcze bardziej podkreśla „poznańskość” tej płyty. Za realizację nagrań odpowiedzialni Ryszard Gloger i Andrzej Bąk, a projekt graficzny okładki był dziełem Jacka Gulczyńskiego. Krążek ukazał się w czerwcu 1984 roku nakładem wydawnictwa Saviator. Concept album, którego pomysłodawcą był Grzegorz Stróżniak, jest nierozwalną, przemyślaną całością. Płytę uważa się za najciekawszą z wydanych w latach ,80 przez

zespół Lombard oraz za jedną z najlepszych płyt 1984 roku w Polsce.

Już okładka tego longplaya – z nagim kobiecym biustem (cenzura nie zgłaszała żadnych zastrzeżeń!) – sugeruje, że czeka nas coś intrygującego. I rzeczywiście: otrzymujemy lombardowy concept album, na którym piosenki tworzą pewną całość. Na płycie analogowej między utworami nie ma przerw – albo nachodzą na siebie, albo łączą je specjalnie wybrane efekty. W edycji na CD zaniechano tego rozwiązania – utwo-

ry są rozdzielone. „Szara maść” jest najlepszym dowodem rosnących ambicji artystycznych grupy, a zwłaszcza jej lidera, co potwierdzają chociażby wydane w ostatnich latach płyty DVD „W hołdzie Solidarności” czy CD „Showtime”.

Cechą charakterystyczną „Szarej maści” są piosenki z gęstym brzmieniem syntezatorów wspomaganych sekwenserami. Grzegorzowi Stróżniakowi pomógł na tym polu grający na instrumentach klawiszowych... basista Zbigniew Forys. Elektroniczne dźwięki czasem wchodzą w dialog

z gitarą („Darwiniści”), czasem z wokalem Ostrowskiej („Wąwóz Kolorado”) czy Stróżniaka („Szara maść”), a także pojawiają się jako łączniki spod znaku – modnego wtedy – Ultravox. W roli ozdobnika zastosowano „komputerową” pulsację („Wąwóz Kolorado”; „Czeski film”), natomiast w kompozycji instrumentalnej „EKG” lider grupy rusza w kierunku wyznaczonym przez Vangelisa. Natomiast chcąc żartobliwie spointować tekst „Czeskiego filmu” pod koniec utworu umieszczono polkę skrzyżowaną z walcem, a zaaranżowaną na instrumenty dęte i perkusję.

Pod względem wokalnym jest jeszcze bardziej interesująco. Ostrowska różnicuje swe interpretacje, wprowadza nowe barwy i wokalizy. Zastosowano także nakładki głosu („Plaża fok”) oraz efekt „odliczania” męskimi głosami („Stan gotowości”).

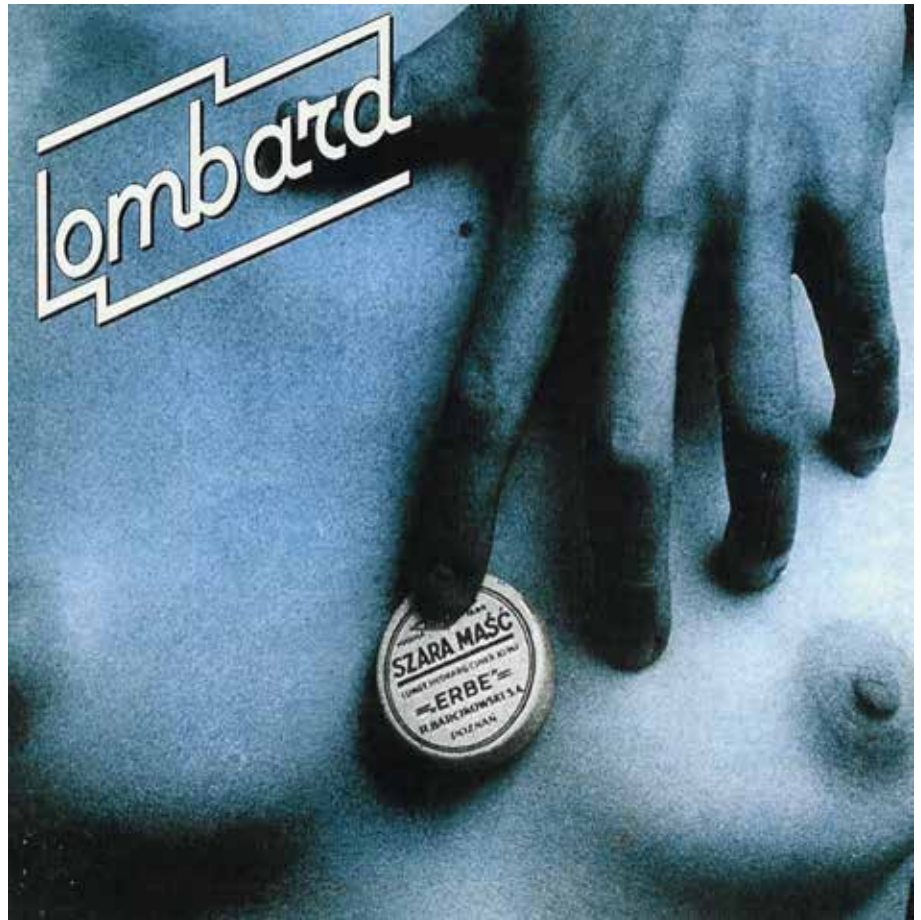
Liczne koncerty nie przeszkodziły grupie w przygotowaniu dobrego materiału na nowy album. Spowodowały tylko to, że autorem wszystkich tekstów na płycie, wbrew wcześniejszym założeniom, nie została Małgorzata Ostrowska, tylko sprawdzony w tej roli przyjaciel zespołu Jacek Skubikowski. Jego teksty tworzą metaforyczny i gorzki obraz życia w ówczesnych realiach. Życia, w którym człowiek boi się nawet przez chwilę przed zaśnieciem pomyśleć o otaczającej go rzeczywistości: *kołdra na głowę/byłe szybciej do przepaści*, jednakże twarze wszystkich wokół pokryte są tynkiem z wielu warstw tytułowej szarej maści („Szara maść”). Tytułowa szara maść to nazwa przedwojennego medykamentu, który stosowany był do zwalczania insektów atakujących intymne części ludzkiego ciała.

Kolejny album przyniósł Lombardowi kolejne przeboje, a zwłaszcza megahit „Stan gotowości”. Utwór zdobył pierwsze miejsca wszystkich list przebojów, z radiową Trójką na czele. Na listy przebojów trafiły także utwory „Wąwóz Kolorado”, „Czeski film” i „Szara maść”.

LISTA UTWORÓW

Strona A

Stan gotowości (muz. Grzegorz Stróżniak – sł. Jacek Skubikowski) – 4:55



Plaża fok (muz. Zbigniew Forys – sł. Jacek Skubikowski) – 4:45

Bezcieleśni – bezszelestni (muz. Grzegorz Stróżniak – sł. Jacek Skubikowski) – 5:00

Darwiniści (muz. Piotr Zander – sł. Jacek Skubikowski) – 3:10

Strona B

Wąwóz Kolorado (muz. Grzegorz Stróżniak – sł. Jacek Skubikowski) – 6:25

Czeski film (muz. Grzegorz Stróżniak – sł. Jacek Skubikowski) – 4:00

Szara maść (muz. Grzegorz Stróżniak – sł. Jacek Skubikowski) – 4:40

EKG (muz. Grzegorz Stróżniak) – 4:50

PŁYTA ZOSTAŁA NAGRANA W

SKŁADZIE:

Małgorzata Ostrowska – śpiew

Grzegorz Stróżniak – śpiew, instrumenty klawiszowe

Zbigniew Forys – instrumenty klawiszowe

Piotr Zander – gitara

Włodzimierz Kempf – perkusja

W 1985 roku wydana została broszura pod redakcją Jerzego Bojanowicza pt. *Lombard:*

teksty i nuty z płyty „Szara maść”. W tym samym roku płyta doczekała się wersji angielskiej zatytułowanej „Hope and Penicillin”, nagranej ponownie w Studio Polskiego Radia „Giełda” w Poznaniu. Album „Hope And Penicillin” wydany został w tej samej okładce co „Szara maść”. Angielskie teksty mają treść bardzo zbliżoną do oryginałów.

LISTA UTWORÓW

Strona A

Pecemaker – 4:55

Seal Beach – 4:45

Shadow People – 5:00

DNA and You – 3:10

Strona B

Splendid Isolation – 6:25

Proper Goose Proper Gander – 4:00

Hope and Penicillin – 4:40

ECG – 4:50

„Szara maść” znalazła się na 41. miejscu wśród 50 concept albumów wszech czasów według miesięcznika Teraz Rock. •

Obraz mojej twarzy

przed kolejnym wschodem w
 myślach wstaje dzień
 jeszcze niejawny w pikselach myśli
 zapisany
 z pierwszymi odruchami budzącej
 się świadomości
 na ścianach pokoju opada kurtyna
 wspólnej nocy
 z klinami promieni słonecznych
 wbitych w siatkówkę oka

spięte mięśnie wynoszą kręgosłup
 na krawędź łoża
 pozycjonując sylwetkę z
 opadającymi na podłogę nogami
 których palce w rytuale poranka
 oczekują zbliżenia z laczkami
 jeszcze wtulony wspomnieniem w
 poduszkę na moim tapczanie
 wyczuwam obecność twoją
 zapisaną zapachem ciała

powoli budzę się ze snu odurzony
 śladami naszej bliskości
 zachłystując się myślą wchłaniam
 tlen ustami niby ryba
 w niemym krzyku rozkoszy
 zamykam powracającą świadomość
 wzrasta moje pragnienie bliskości
 napięte niby cięciwa łuku brwi
 nad twoimi cudownymi oczami
 wpatrzonymi w obraz mojej twarzy

Zbigniew Roth

Najcichsza ze wszystkich cisz

Jest taka cisza co zda się
 dzwonkiem podzwania
 pozornie bezdźwięczna jakby
 zrodzona z prochów
 i pełna krzyku w piersi po sam skraj
 wezbrana
 i ta we łzach płynąca od szlochu do
 szlochu

i taka z podcienia klasztornego
 krużganka
 i sprawiedliwego z niezmaconym
 sumieniem
 i z oddechu enigmatycznego
 kochanka
 co dawno już odszedł jak w wodę...
 kamieniem...

lubię taką cieszę – najcichszą ze
 wszystkich cisz
 z twarzą kamienną rzeźby Antonia
 Canovy
 w zgiełku narzędzi stworzył dzieło-
 rzeźbiarski Mistrz
 przed jej białym obliczem zastygam
 bez słowa
 jak ten dzwon...
 co zadławił się dźwiękiem i...
 zamilkł.

Zofia Szydzik

Folwarczny Jantek

Do klepiska
 ukrytego przed słońcem,
 wraca każdego wieczoru.

Drogę oświetlają mu,
 podniebne lampki,
 czasami księżyc,
 lubiący
 uśmiechać się całą gębą.

W duchu chwali niebiosa,
 za cud,
 który dano mu oglądać.

Zanim rano
 wyprowadzi pańskie krowy,
 zje grubą pajdę ze smalcem.

Popije
 rzadkim,
 jak powietrze mlekiem

Aldona Latosik

Jestem

Człowiek jest puchem na wietrze
niesionym.
Kiedyś rozdziobią nas kruki i wrony,
lecz dzisiaj nadal żyję manifestem:
„myślę więc jestem”.

Och życie, nigdy nie upraszczasz
drogi
i krętą ścieżką na manowce
wodzisz.
Lecz nawet wtedy, gdy ranisz
boleśnie,
ja nadal jestem.

To jeszcze nie czas, ale myśl
powraca:
po co ta moja „judymowa” praca?
Będę niebytem, gdy zamknie się
przestrzeń,
choć teraz jestem.

Jakie wspomnienia zostawię u
ludzi,
kiedy już żaden dźwięk mnie nie
obudzi?

Dzisiaj odkładam na później tę
kwestię,
bo jeszcze jestem.

Kiedyś nade mną złożą ciężki
kamień,
lecz zanim minę, odejdę w
nieznane,
chwycić mnie w ramiona, nie
odwlekaj, spiesz się.
Dopóki jestem.

Danuta Zofia Buks

Sekret myśli

Samotna myśl płynie w ukojonej
morza fali
tęczą łuków muzycznych i anielskim
chórem śpiewa
pogodne oblicze rzeźbi antycznego
boga kształty

Puszczą kolorów szumiących
dookoła krąży
w zapachu wiatru młoda młodością
czasów
miłością wre rzucona szczęściem

Strumieniem ze mnie wylana
odchodzi i wraca niczym woda
źródłana
wiecznie przepastna w bezmiarze
rosnąca

Zapomnienie zabiera na własność
odrywa wspomnienia
bezpownotnie łąą od powieki
w strunach życia milcząca
sprawiedliwa w ciszy

Pod natchnieniem otwarta dla
świata
we mnie ciągle nęcąca w wiecznym
sekrecie
mądra ładem zawiła i prosta

Jolanta Szkudlarek „Lilia”

Dwanaście bram seshat

Dwanaście bram obcych
Im głośniej krzyczę
Seshat
Wschodzi nad głowami
Księżyc – Klucz
Południem wielkość zamieszkała
Na posadzkach wież
I katedr
Gdy zaszło wszystko
O Północy po Horyzont
Krążą słowa
Rakiem powracają
Statki do Seshat
Portu siedmiu znaków
I dwunastu bram księżycowego
Boga
A w nas Księga
Sługa i Klucznik
W ostatniej bramie
Ósmym spojrzeniu

Monika A. Gąsiorek

LOMBARD W OPERZE

W niedzielny wieczór 30 kwietnia 2017 r. w Teatrze Wielkim w Poznaniu odbył się niezwykle koncert poznańskiego zespołu Lombard. Pretekstem do jego organizacji była 35 rocznica powstania grupy oraz urodziny założyciela, wokalisty i klawiszowca Lombard'u – Grzegorza Stróżniaka.

MICHAŁ SOBKOVIK



Na scenie zaprezentował się zespół Lombard w najdłużej istniejącym składzie, z poznanianką Martą Cugier na wokalu, która z zespołem współpracuje już 18 lat, na gitarze zagrał Daniel „Gola” Patalas, na basie i kontrabasie Michał „Guma” Kwapisz, na perkusji Mirek Kamiński, a ponadto Big Band z najlepszymi poznańskimi muzykami jazzowymi pod dyr. Jana Zeylanda i CoOperate Orchestra. Osoby zebrane na widowni, w dużej mierze znajomi i rodzina muzyków – wszak Lombard

we własnym mieście gra stosunkowo rzadko – usłyszeli zarówno największe przeboje zespołu, jak i piosenki z ostatnich płyt, wszystkie w nowych wersjach. I tak „Gołębi puch” utrzymany był w rytmie tanga, a „Taniec pingwina na szkle” to rasowy swing. Również „Deja vu – to już było”, „Nasz ostatni taniec” czy „Przeżyj to sam” w swingowych wersjach zabrzmiały tak, jak gdyby zostały napisane w tej stylistyce, a nie jako utwory rockowe. Szlachetności nowym wersjom dodała niewątpliwie orkiestra towarzysząca muzykom.

Oczywiście nowe wersje nie wszystkim piosenkom wyszły na dobre – „Szkłana pogoda” straciła swój rockowy pazur, ale to chyba po to, żeby było się czego cześcić.

Tak naprawdę Lombard to wciąż zespół rockowy i było to słychać podczas solówek gitarowych, czy w sposobie śpiewania. Marta i Grzegorz mają rocka we krwi, więc nie da się od niego uciec, a że swing i jazz też im w duszach gra... pozwoliło to muzykom idealnie wczuć się w nowy klimat muzyczny, jakże inny od rockowej codzienności. •

DAĆ PRZYKŁAD

Na trawniku przed operą poznańską studenci Uniwersytetu Przyrodniczego ułożyli kwietny dywan z główek tulipanów przedstawiający rowerzystę. Z perspektywy drona można zobaczyć tę mozaikę, a czy dojrzą ją Holendrzy?

ANDRZEJ WILOWSKI

Zdjęcia z tego happeningu obiegły świat. Poznaniacy wykazali się inwencją, czym zasłużyli sobie na uznanie, przy okazji obalając mit o skąpstwie Poznańczyków. Niektórym żal zmarowanych tulipanów, więc spieszę z wyjaśnieniem. Jeśli z tulipanowych cebulek w przyszłości mają powstać nowe kwiaty, trzeba je odciążyć od dźwigania pąków w tym sezonie, aby za rok powstały nowe kwiaty.

W Internecie wzbudził zainteresowanie filmik przedstawiający spacerujące sło-

nie po ulicach Poznania. Co na nim robią słonie, poza przechadzką? Wiadomo, robią kupy. Takie duże zwierze potrafi wyprodukować do stu kilogramów nawozu dziennie. Oburza to mieszkańców, ale znacznie więcej odchodów na trotuarach i skwerkach pozostawiają czworonożni pupile Poznaniaków. Zostawiają, bo miłośnicy zwierząt tego nie sprzątają. Miasto przypomina psią toaletę, sprawia to ponad 50 tysięcy psów. Cuchnący dokument przemawia do wyobraźni, ale czy sumień psiarzy, to się okaże. Filmik zo-

stał zrealizowany z inicjatywy władz miasta. Władze miejskie również kibicują cyklistom, sam prezydent Jacek Jaśkowiak daje przykład i do pracy jeździ rowerem. W Poznaniu zarejestrowano nowy rekord do „Księgi Guinnessa” w liczbie sportowców jednocześnie wykonujących przysiady. W bicu rekordu wzięło udział 2200 uczestników, którzy pobili rekord uprzednio należący do Chińczyków. Jest jakaś dziedzina, w której jesteśmy lepsi o Chińczyków, a w innych potrafimy zadziwić świat. •

POMOC, KTÓRA NIC NIE KOSZTUJE

Ludzie najchętniej pomagają, jeśli nie muszą nic poświęcać i nic to ich nie kosztuje. Taką formą pomocy jest honorowe oddawanie krwi. Nam nic nie ubywa, a innym osobom możemy uratować życie.

MICHAŁ SOBKOWIAK

Jak wiadomo, krwi nie da się wyprodukować. Jest jednak niezbędna przy ratowaniu życia ofiarom wypadków czy przy planowych operacjach. W całej Polsce są setki tysięcy honorowych krwiodawców, ale mimo to zapasy krwi są bardzo małe. Najbardziej uniwersalna grupa krwi, czyli 0Rh- jest szczególnie poszukiwana. Problem ten nasila się w okresie wakacji.

Przygodę w stacji krwiodawstwa rozpoczynamy od wypełnienia ankiety dotyczącej zagrożeń dla naszego zdrowia. Następnie udajemy się do punktu pobrania krwi do badania. Po kilkunastu minutach proszeni jesteśmy do lekarza, który ocenia nasz stan zdrowia na podstawie ankiety oraz wyników badania krwi. Lekarz kieruje nas do punktu, w którym oddaje



się krew i wręcza żeton za który w bufecie dostaniemy kawę i wafelek czekoladowy. Po posileniu się trafiamy do pomieszczenia, gdzie znajdują się fotele i aparatura potrzebna do pobrania 450 ml krwi. Po oddaniu odpowiedniej ilości krwi, pozostajemy jeszcze przez chwilę na fote-

lu, by nasz stan się ustabilizował. Przede wszystkim mamy satysfakcję z dokonania dobrego uczynku. Jeśli to dla kogoś za mało, to może przekonają go inne profity. Po każdym oddaniu krwi dostajemy mały napój i 10 czekolad dla regeneracji oraz zwolnienie z pracy za ten dzień. Dodatkowo możemy odliczyć podarowaną krew od dochodu. Po oddaniu 18 litrów honorowi dawcy krwi nabywają prawo do darmowego korzystania z komunikacji miejskiej.

Należy pamiętać, że nigdy nie wiadomo czy sami kiedyś nie będziemy potrzebować krwi. Dlatego póki możemy, pomóżmy innym. Namawiamy do tego również swoich bliskich i znajomych. Nie bądź żyła, podziel się krwią! •

PRESLEY ZNOWU GRA

Każdego roku w połowie sierpnia, wszędzie, coraz głośniej i inaczej rozbrzmiewają kompozycje w wykonaniu Elvisa Presleya, które... Sami wiecie, po prostu jest i „gra muzyka”. I wszystko w porządku. Takie imprezy poświęcone Królowi Rock and Rolla odbywają się w grodzie Przemysława od wielu lat. Plenerowo ze śpiewem i tańcem, z sobowtórami i naśladowcami Elvisa w różowym cadilacku i koniecznie) innymi atrakcjami...

KRZYSZTOF WODNICZAK

Zagramy, zaśpiewamy, zabawimy się – bo Elvis Presley znowu gra w , dla każdego. Taka impreza udaje się tylko u nas, w Poznaniu !!! Dzień Presleya i wielki miting (lub zlot, jak kto woli) zaplanowaliśmy na 15 sierpnia br. i będzie, jak zwykle – tyle że jeszcze lepiej (wieloletnie doświadczenie zobowiązuje).

Polskie Towarzystwo Artystów, Autorów, Animatorów Kultury PTAAAK, główny organizator, proponuje Państwu firmie kompleksową kampanię reklamową, mającą charakter sponsorowania imprezy, który może obejrzeć kilka tysięcy widzów w różnym wieku (np. Rejs po Warcie z Presleyem, Salonik poetycki, projekcje filmowe, konkurs plastyczny dla dzieci, Msza Gospel w poznańskiej Farze, koncert główny etc.). Jak zwykle, proponujemy różne warianty sponsorowania całego mitingu Dnia z Presleyem lub jednego z jego punktów, jesteśmy gotowi do różnych form, a także usług barterowych. Jeśli byliby Państwo zainteresowani nawiązaniem współpracy na płaszczyźnie finansowej, barterowej lub w innej formie, oczekujemy na wiadomość.

Dobrym i sprawdzonym zwiastunem imprezy jest piosenka Thats all right, która od 60 lat dodaje czadu (nie tylko rówieśnikom Elvisa Presleya, lecz także ich wnukom). Bardzo liczymy na niezawodną życzliwość, która... Zresztą spotkajmy się, zaśpiewajmy i...nie zapomnijmy.

Najważniejsze żeby wszystko zagrało!

Z pozdrowieniami Krzysztof Wodniczak
Prezes Stowarzystwa PTAAAK
producent muzyczny.

PTAAAK

POZnań*

* MRS
Miejska Rada Seniorów
w Poznaniu

zapraszają na koncert

DZIEŃ Z PRESLEYEM CZYLI PRESLEY WARTY POZNANIA

Wystąpi

**ORKIESTRA
ZBIGNIEWA PAWLAKA**

oraz soliści

**Paweł Bączkowski,
Tomasz Dziubiński,
Grzegorz Kupczyk,
Maciej Piotr,
Piotr Skowroński,
Robert Wojciechowski
Krzysztof Wodniczak**

dnia 15 sierpnia, godz. 19.30

Urząd miasta Poznania, pl. Kolegiacki 17

WSTĘP WOLNY



WŁOCH W POZNANIU – THOMAS GROTTO

Był film „Giuseppe w Warszawie”, może być wywiad Włoch w Poznaniu. Thomas Grotto muzyk i wokalista stara się dołączyć do grona piosenkarzy włoskich, dla których Polska stała się atrakcyjnym miejscem koncertowym i nagraniowym.

TEKST I ZDJĘCIE: HIERONIM DYMALSKI

Wystarczy wspomnieć o latach sześćdziesiątych kiedy niebawą popularność zyskał Marino Marini, w następnej dekadzie częste tournée koncertowe odbywał u nas Claudio Baglioni, później nastąpiła dominacja Farydy zapraszanej regularnie przez Czesława Niemena Wydrzyckiego i wreszcie na przełomie XX i XXI wieku odwiedzał nasze krajowe estrady Drupi. To tylko niektóre przykłady, że piosenka włoska była i jest u nas popularna, a na koncerty spod znaku piosenek z włoskiego buta jest ogromne zapotrzebowanie wśród polskich melomanów piosenek laureatek festiwalu San Remo. Spotkałem w Poznaniu włoskiego piosenkarza Thomasa Grotto. Oto zapis naszej miłej konwersacji.

– Dlaczego tak długo „ukrywałeś się”, w Polsce mieszkasz już dziesięć lat, przed siedmioma laty zostałeś laureatem programu telewizyjnego Szansa na sukces, w którym wykonywałeś wcale nie komercyjny utwór „Nie widzę Ciebie w swych marzeniach” z repertuaru Skaldów, o którym kompozytor tego songu Andrzej Zieliński powiedział, że skomponował go dla Czesława Niemena, ty z tym utworem dobrze sobie poradziłeś i odniosłeś pewien sukces. Co działo się z Toba dalej, przecież trzeba było – mówiąc terminologią sportową – pójść za ciosem. Czego zabrakło Tobie?

– Po tym jak zostałem laureatem „Szansy na sukces” rozpocząłem regularne koncerty. Myślałem, że to jest dobra, słuszna, właściwa droga, żeby w jakiś sposób zaistnieć na polskim rynku muzycznym. Przeliczyłem się, bo koncerty – te mniej lub bardziej ważne – dają jednodniową chwilę i krótką satysfakcję.



Blichtr kilku godzinny. Po tych koncertach nie ukazywały się żadne recenzje prasowe, nie byłem zapraszany na wywiady do radia czy telewizji. Dzisiaj już wiem, że to była chwilowa egzystencja. Mieszkałem wówczas w Kołobrzegu, a na koncerty musiałem dojeżdżać setki kilometrów. To było wyczerpujące. Postanowiłem zmienić miejsce zamieszkania na inne miasto. – Wybór padł na Poznań.

– Dlaczego?

– Z trzech powodów. Moja ówczesna dziewczyna Gosia, obecnie już żona, mieszka w Poznaniu, lubię ziemniaki i gzikę. Trzeci punkt bardziej może skomplikowany, ale jakże WAŻNY. Szukałem przez lata menedżera i promotora w jednej osobie. Dowiedziałem się, że ostatni menedżer Czesława Niemena mieszka w Poznaniu, postanowiłem się z nim zaprzyjaźnić i zaproponować mu współpracę. Nie przyjął jeszcze mojej oferty, jeszcze się zastanawia, męczę go

niemal raz w tygodniu, nie otrzymałem od niego satysfakcjonującej mnie odpowiedzi. Jestem cierpliwy, czas pokaże czy ta współpraca artysta – menedżer się ziści. Myślę, że jeśli częściej będzie słuchał mojej CD i był na moich koncertach to prędzej zgodzi się na współpracę. Mam taką cichą nadzieję. Nie wspominałem, bo zapomniałem, że w Poznaniu mieszka mój najwierniejszy fan Bartosz, który jest już moim przyjacielem. A to zobowiązuje – Jesteś jednym z niewielu zagranicznych piosenkarzy mieszkających w Polsce, który wpadł na oryginalny pomysł, aby znane utwory polskich kompozytorów zaśpiewać po włosku.

– Uczyliłem to już z kompozycjami Andrzeja Zielińskiego, Czesława Niemena, zespołu Perfect. Myślę, że do końca 2017 roku wydam CD z polskimi utworami ponadczasowymi, które młode pokolenie nazywa cove-rami. A dla mnie to są standardy. •

JAK TO ZROBIĆ,

proszę o instrukcje

Książkę znajdziemy w dziale popularnonaukowym. Niektóre księgarnie stawiają ją na półce „poradniki” i tu, czytelnik, który po nią sięgnie może poczuć się rozczarowany, bowiem nie znajdzie prostej, krok, po kroku, instrukcji jak to zrobić, czyli „Wylogować się do życia”.

ANDRZEJ WIŁOWSKI

Wiliam Powers na 535 stronach przedstawia esej o współczesnej kulturze informatycznej. Prezentuje tezę nie tyle błyskotliwą, co banalną, o uzależnieniu współczesnego człowieka od elektronicznych narzędzi komunikacyjnych. Komputery, tablety i smartfony uzależniają nas od Internetu, portali społecznościowych, komunikatorów, poczty elektronicznej. Każdy z nas posiada komputer, tablet i smartfona i niczym alkoholik uzależniony od wódki, nie wyobrażamy sobie życia bez newsletterów, postów, facebooka. Kiedy jesteśmy pozbawieni dostępu do bieżących wiadomości popadamy w frustrację, niepokój, czy przypadkiem nie przeoczyliśmy czegoś ważnego.

„Dostępność” to najczęściej wymieniany termin przez producentów elektronicznych gadżetów i dostawców usług telekomunikacyjnych. Analogia trafna z alkoholizmem, bowiem branża, podobnie jak producenci używek z jednej strony reklamują swoje produkty podnosząc walory smakowe, wygodę, przyjemności związane z używkami, a jednocześnie przestrzegają przed zgubnymi skutkami nadużywania, proponując w trosce o klienta nowe, wyrafinowane narzędzia do radzenia sobie z nadmiarem bodźców, informacji. Oczywiście najlepszym rozwiązaniem byłaby abstynencja, nie koniecznie stała, ale czasowa. Na to zapotrzebowanie walki z nałogiem, odpowiadają agencje turystyczne, reklamując wczas w egzotycznych miejscach, gdzie nie ma zasięgu. Oczywiście to czysta iluzja, bo w tej chwili już takich miejsc na ziemi nie ma. Zresztą czerwony krzyżyk na ikonke sieciowej u posiadacza smartfona budzi jedynie

frustrację, o ile wręcz nie agresję. Podobny objaw do odstawienia w przypadku nałogu alkoholowego. Wydawałoby się, że rozsądną propozycją byłyby turnusy terapeutyczne, kiedy uczestnik dobrowolnie decyduje się przed wczasami oddać do depozytu wszelkie urządzenia komunikacyjne, ale i komputery i konsole, bo przecież są jeszcze filmy i gry. Niestety to nie działa, bo po chwilowym odpoczynku, wracamy z większą intensywnością do poprzedniego stanu. Przecież długo nas nie było i skrzynka zapełniona pocztą, trzeba odpisać, zareagować na facebooku, potwierdzić swoją obecność w świecie. Jak nie zareagujemy, nie odpiszemy, to znaczy, nie żyjemy, ale w świecie wirtualnym, a w realnym coś tracimy.

Autor zadaje retoryczne pytanie, co właściwie tracimy, wszak sam przyznaje, że bez smartfona nie wyobraża sobie na przykład funkcjonowania zawodowego. W gruncie rzeczy są to pożyteczne narzędzia pracy, ułatwiające, uzupełniające i nie konieczne muszą prowadzić do zgubnych w skutkach zachowań. Realnym problemem nie są same gadżety, ale to co przynoszą, zalewają nas nadmiarem informacji z którym nie potrafimy sobie poradzić. Pewnym wyjściem może być swoista kontestacja i selekcja informacji „of-line”, czyli jak praktykuje autor, sporządzanie bieżących notatek w kieszonkowym notesie, a następnie elektroniczne archiwizowanie tych, które będą nam przydatne dłużej. To rozwiązanie problemu nadmiaru informacji przez nas samych produkowanych, ale co zrobić z tym, co otrzymujemy od innych?

Według Powersa podobny szok cywilizacyjny przeżyli Europejczycy po wynalazku

Gutenberg. Sam wynalazca druku nie wyobrażał sobie jakie to będzie miało konsekwencje. W roku 1517 Marcin Luter ogłosił swoje tezy, a najważniejszym postulatem było sięgnięcie do „Biblii”. Druk umożliwił jej upowszechnienie, ale o masowości czytelnictwa miały przesądzić przekłady „Pisma Świętego” na języki narodowe. Bez druku nie byłoby też Shakespeare’a. Druk książek, broszur i gazet w sposób nieoczekiwany przyczynił się też do rozruchów w Londynie epoki elżbietańskiej. Biedni analfabeci odkryli, że brak umiejętności czytania i pisania dyskryminuje ich i wyklucza; ogranicza dostęp do sądów, uniemożliwia dochodzenia swoich praw, o których z powodu analfabetyzmu nawet nie wiedzą.

Ta analogia tylko do pewnego momentu jest przekonująca. Podobnie jak pięćset lat temu i dziś chodzi o dostępność, ale dawniej oznaczała ona brak informacji, dziś wręcz przeciwnie, jej nadmiar. Wspólny jest może problem wykluczenia, kiedyś z powodu analfabetyzmu, a dziś za wykluczonego uważany jest ten, kto nie ma „dostępu” z powodu nieposiadania, lub nie używania nowoczesnych technologii w komunikowaniu się. Współczesny człowiek w ciągu doby nawiązuje tyle kontaktów, co jego przodek sprzed pięciu stuleci w ciągu całego życia. Owszem, umie czytać i pisać, ale czy radzi sobie z tymi narzędziami współczesnego Internetu. Obawiam się, że jest równie bezbronny jak jego przodek analfabeta wobec druku. Postulat Powersa, aby znaleźć właściwe miejsce dla elektronicznych gadżetów w naszym życiu, może być spełniony pod warunkiem uzyskania przez użytkowników nowych kompetencji.

POZNANIAK ROBI KARIERĘ

na Antypodach

Przemysław Goc to poznanianin mieszkający obecnie na Antypodach i tworzący pod pseudonimem Ainu.

MICHAŁ SOBKOWIAK

Przemysław Goc urodził się 14 lutego 1967 w Poznaniu. To zjawiskowy artysta z kręgu muzyki etnicznej lub inaczej „muzyki świata”, multiinstrumentalista, kompozytor i producent muzyczny. Jest także utalentowanym grafikiem, fotografem, twórcą artystycznych wideoklipów i stron internetowych.

Pseudonim Ainu wywodzi się od pierwszego człowieka w historii, który tysiące lat temu namalował pierwsze ryciny naskalne i oznacza tym samym pierwszego na świecie artystę. Ainu (wcześniej występował także jako Titilo) to niezwykle utalentowany artysta, który łączy nowoczesny styl z tradycją starych kultur.

Przemysław Goc zdjęcia ze swoich podróży (Europa, Nepal, Tybet, Indie, Australia, Nowa Zelandia, Indonezja, Malezja, Maroko, Tunezja, Tajlandia, Singapur inne) prezentuje podczas swoich widowiskowych koncertów, grając na takich instrumentach muzycznych, jak flety, Fletnia Pana, quena, gitara elektroakustyczna, didgeridoo, bębny, tybetańskie gongi. Podróże były inspiracją do nagrania płyt z muzyką w rytmach ze wszystkich kontynentów świata. Artysta jest również wynalazcą unikalnych instrumentów muzycznych jak: „Eagle Harp” (odlana z brązu elektryczna harfa w kształcie skrzydeł Orła), „GocPanFlute” (metalowe Fletnie Pana), metalowe flety proste w specjalnych autorskich strojach pentatonicznych.

Ainu opracował także specjalne urządzenie USB, oparte o technologię Flash, na którym umieszcza i sprzedaje swój artystyczny dorobek. Nagrania tam umieszczone pod względem jakości dźwięku „wyprzedzają o lata świetne jakość płyty CD”.

DYSKOGRAFIA

„RaRoTonga” (2010)



„Inside” (1990–1992)

„Titilo” (1993–1995)

„Martini” (1997)

„Welele” (1998)

„Earth '2000” (2000)

„Ainu” (2002)

„Multi Culti Kanti” (2005)

„Save Tibet” (2006–2008)

„7 Days in Georgia” (2011)

„QaraQorum” (2013)

singiel „Amorangi – The Last Warriors” (2014)

singiel „Fly Fly Fly” (2015)

singiel „Touch of Imam” (2015)

singiel „Wild Reindeer in Lavvu” (2016)

Więcej informacji na stronie:

<http://www.ainu.pl/>

ZBIGNIEW ROTH

– jubileuszowy miniwywiad

Zbigniew Roth w tym roku świętuje jubileusz 60-lecia działalności artystycznej. Z tej okazji przeprowadziłem miniwywiad z jubilatem.

Michał Sobkowiak: Pana zdaniem, jak to jest być poetą w dzisiejszych czasach?

Zbigniew Roth: Aktualnie poezja to sztuka nie w rozumieniu tradycji, to umiejętność ogniskowania w równym stopniu uwagi odbiorcy, na pięknie słowa i głębokim romantycznym przeżywaniu, umiejętności obrazowania swoich przeżyć niewziętych z „kosmosu”, ale z prawdziwego codziennego życia. Opisywanie słowem zdarzeń, gdzie człowiek znajduje się w różnych sytuacjach, staje się wirtualną sztuką w dobie dominacji internetu!

Być poetą to nie tylko umiejętności warsztatowe związane z w/w elementami, ale jasne określenie swojego stanowiska i szacunku wobec ojczystego języka, kultury i tradycji! A obecna swoboda obyczajowa powoduje wulgaryzację sztuki, w tym poezji, prozy, piosenki, ponieważ dla marketingu najważniejszy jest dochód jaki przynosi dzieło, a nie jaki reprezentuje poziom.



Łatwiej było pisać wiersze w czasach PRL'u czy w XXI wieku?

Można odnieść się do tego w dwojaki sposób, pierwszy to fakt, że ograniczona panującym systemem i cenzurą twórczość miała znacznie zawężone pole manewru, co do wyboru opcji i treści pisanych utworów. Można było pisać z nadzieją na sukces, wspierając bez większej świadomości obowiązujący system i liczyć na płynące z tego profity, mając złudzenie lub pełne przeświadczenie służyć Ojczyźnie. Dotyczyło to w przeważającej części twórców nie bawiących się w politykę, jedynie uzależnionych w jakimś stopniu od własnego parcia na sukces i istniejącej opcji politycznej! Drugą być może mniejszą grupą byli twórcy zaangażowani w walkę o wol-

ność i swobody obywatelskie, często piszący i tworzący dzieła sztuki w tak zwanym „podziemiu”. Ich zaangażowanie ideologiczne było świadomym i godnym szacunku wyborem, bo niosło za sobą wiele zagrożeń dla nich i ich najbliższych! Tak więc moim skromnym zdaniem nie można porównywać obecnych czasów do minionej epoki PRL'u, ponieważ twórczość i jej ocena zależy od warsztatu twórcy, a nie od okresu w którym żyje i tworzy. Dlatego szacunek dla odbiorcy i samego siebie, stawia wymagania przed poetą co do poziomu warsztatu i użytych środków wyrazu, bo nic w życiu nie jest oczywiste i jednoznaczne, a pisanie wierszy, to nie tylko temat miłości, ale wszystkich zjawisk społecznych w naszym życiu.

Który okres w dziejach literatury uważa Pan za najlepszy dla poezji i dlaczego?

Osobiście uważam się za poetę romantycznego i dlatego ten okres pozwolę sobie wskazać jako najpiękniejszy w dziejach literatury. Obejmuje on nie tylko poezję, ale i pisarzy, którzy wyłamują się z obowiązujących wówczas reguł i idą drogą, która ma swoje miejsce w literaturze polskiej w okresie 1815-1863. Oczywiście nie wszystkich twórców tego okresu można nazwać romantykami, jednak większość podążała w kierunku dzieł poetyckich, w których poglądy na twórczość literacką, wyrażają myśli i artystyczne dążenia, zbliżone do rozpowszechnionego kierunku w literaturze zachodniej Europy, zwanym romantyzmem.

Wiersze, których współczesnych poetów mógłby Pan polecić naszym czytelnikom?

Nigdy nie bawię się w ocenę innych autorów, ponieważ jest to prawo odbiorcy, a nie autora i tylko opinia czytelnika może być jednoznaczna i wiążąca. Inaczej byłoby to dla mnie robienie reklamy komuś, kogo osobiście nie znam, a mój gust czytelniczy

byłby nietrafiony. Inaczej mówiąc trudno spodziewać się, aby rzeźnik polecał wyroby innego, a nie swoje...

Czego możemy Panu życzyć z okazji tak zycznego jubileuszu?

Pięknie dziękuję za zwrócenie uwagi na moją twórczość i wyjątkowy jubileusz w życiu każdego artysty. Moim pragnie-

niem jest, aby nie opuściła mnie wierna dotąd mnie wena, a władze mojego ukochanego miasta Poznania, dostrzegły moją osobę i pomogły spopularyzować moją twórczość w moim rodzinnym mieście.

Zatem w imieniu redakcji i naszych czytelników, życzę spełnienia powyższych marzeń.

60-LAT STAŻU

W 2017 roku przypada 60-lecie stażu autorskiego poznańskiego autora, kompozytora i poety Zbigniewa Rotha. Dlatego przybliżymy dziś sylwetkę tego sympatycznego twórcy, którego wiersze mamy przyjemność publikować na naszych łamach.

MICHAŁ SOBKOVIK

Zbigniew Roth jest autorem piosenek i wierszy o różnorodnej tematyce i przeznaczeniu. Został stypendystą Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego z siedzibą w Poznaniu w dziedzinie kompozycji piosenki estradowej. Pisze i komponuje od 1957 roku, ale publikować swoją twórczość w formie kaset, a potem płyt CD, zaczyna w 1994r. – po zdobyciu przez jego podopieczne dzieci z Dziecięcego Zespołu Wokalnego „ATO MY” Srebrnego Aplauzu (nagrody Wojewódzkich Przeglądów Piosenki Dziecięcej w Poznaniu).

Zbigniew Roth w 1983 roku napisał dwa utwory dla KKS Lech z okazji zdobycia podwójnej korony Mistrza Polski i Zdobywcy Super Pucharu Polski pt. „W górę serca” i „Hej Kolejorz”. Utwory te zostały wykonane podczas przerwy w meczu na Stadionie przy ul. Bułgarskiej w Poznaniu przez Zespół Jednostki Wojskowej w Biedrusku pod dyr. mjr Pawła Łomińskiego. Muzyczna twórczość Rotha prezentowana była również na antenie Polskiego Radia, Radia Obywatelskiego i Radia RMI FM w Poznaniu. Odnosił sukcesy na radiowych listach przebojów piosenki dziecięcej. Brał udział w audycji telewizyjnej Telewizji Regionalnej TVP3 z cyklu „Ludzie i ich pasje” w 1996r.

STOWARZYSZENIA

– od 2007 r – Członek Polish American Poets Academy z siedzibą w Nowym Jorku USA,

– od 2009 – Członek Honorowy Grupy Literacko-Dramatycznej im. Przerwy – Tetmajera w Chicago USA,

– od 2013 r – członek Polskiego Stowarzyszenia Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie – APAJTE z siedzibą w Paryżu – Francja,

– od września 2014 członek Polskiego Towarzystwa Artystów, Autorów, Animatorów Kultury PTAAK w Poznaniu.

WYBRANA BIBLIOGRAFIA

– tomik zbiorowy „Poznańskie Dachy”, RSTK Poznań 1986

– tomik „Czas nas uleczy”, Wydawnictwo Polonijne DSP Chicago USA 2009

– tomik „Wiersze Sercem pisane”, Wyd. Polonijne DSP Chicago USA 2009

– tomik „Przez próg nadziei”, Wyd. Polonijne DSP Chicago USA 2010

– tomik „Tobie Panie zaufałem”, wydanie specjalne DSP Chicago USA 2011

– tomik poezji „Piękno Zakłęte w Życiu”, wyd. WFM Warszawa 2013

– antologia „W łańcuchy zakute marzenia”, wyd. Polisch American Poets Academy 2013

– książka „Twój Internetowy Portal”, Wydawnictwo DSP Chicago USA 2014

– antologia poezji polskiej wydana w języku angielskim „Contem porary Writes of

Poland 2000-2014”, wydane na Florydzie USA 2014

– antologia „Jeszcze nie za późno”, Wydawnictwo DSP Chicago 2015

– tomik poezji „Upojne Chwile”, wydawnictwo autorskie Poznań 2016

– antologia Portalu Peron Literacki, KryWaj Koszalin 2016

– IX Międzynarodowa Antologia Stowarzyszenia Autorów Polskich „Dziki Ogród – pokłosie Światowego Złotu Poetów Rodowodu Polskiego – Wilno, Litwa”, Wydawnictwo Diecezjalne Sandomierz 2016

– Antologia wierszy o matce „Zanim oddała ostatnią kroplę potu”, wydawca – p. Ryszard Mierzejewski Pieszyce 2016

– antologia „Na ostrzu chwili”, Wydawnictwo DSP Zbigniew Roth pisze i publikuje zarówno na blogach i stronach www w Polsce jak i poza granicami kraju np. w Kanadzie (www.zaoceanem.za.pl) czy w USA.

– antologia „Na ostrzu chwili”, Wydawnictwo DSP Zbigniew Roth pisze i publikuje zarówno na blogach i stronach www w Polsce jak i poza granicami kraju np. w Kanadzie (www.zaoceanem.za.pl) czy w USA.

NAGRODY

Zbigniew Roth został nagrodzony podczas swojego pobytu w USA symbolicznym „Diamentowym Piórem” za całokształt twórczości, a szczególnie tej publikowanej w Internecie.

Polonia na Litwie w 2016 roku przyznała nagrodę „Złotą Statuetkę” za całokształt twórczości poetycko-muzycznej i pracę społeczną.

ANNA JANTAR

Anna Jantar to jedna z najpopularniejszych polskich piosenkarek. Choć od jej śmierci minęło 38 lat, to nagrania „Bursztynowej Dziewczyny” są wciąż chętnie słuchane i kupowane.

MICHAŁ SOBKOWIAK



Anna Jantar, a właściwie Anna Maria Szmeterling przyszła na świat 10 czerwca 1950 roku w Poznaniu. W wieku 4 lat rozpoczęła naukę gry na fortepianie. W latach 1965–1969 uczęszczała do VIII Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza i do Średniej Szkoły Muzycznej w Poznaniu. W 1969 zdała egzamin do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie, lecz nie została przyjęta z powodu braku miejsc. Jako uczennica Średniej Szkoły Muzycznej koncertowała z Filharmonią Poznańską. Pierwsze próby w roli piosenkarki odbyła w amatorskim zespole „Szafiry” założonym przez Piotra Kuźniaka. W owym czasie współpracowała również z teatrem studenckim „Oktawa” oraz klubami „Nurt”

i „Od Nowa”, gdzie zarówno śpiewała, jak i akompaniowała.

– Na samym początku miałam inne plany artystyczne. Kształciłam się na pianistkę. Było to w moim rodzinnym mieście w Poznaniu (...) Ale z biegiem lat przekonałam się, że kariera pianistki jest bardzo trudna, jest po prostu – fizycznie trudna, trzeba mieć sporo siły, a ja nigdy nie zapowiadałam się na Herkulesa. Mam przy tym małą rękę, dla pianistki jest to utrudnienie – mówiła po latach artystka.

PIANISTKA ZOSTAJE PIOSENKARKĄ

Latem 1969 roku zostaje wyróżniona podczas świnoujskiej Famy za interpretację piosenki pt. „Łąka bez kwiatów”. Z zespołem Polne Kwiaty w poznańskim radiu na-

grywa swój pierwszy utwór „Po ten kwiat czerwony”. Krótco po tym poznaje Jarosława Kukulskiego, dzięki któremu trafia do zespołu Waganci. Z tym zespołem Anna Maria Szmeterling nagrywa swą pierwszą płytę – „czwórkę” zawierającą przebój „Co ja w tobie widziałam”.

11 kwietnia 1971 w poznańskim kościele św. Anny wokalistka wzięła ślub z Jarosławem Kukulskim, natomiast 1 lutego 1972 dostała uprawnienia Ministerstwa Kultury i Sztuki do wykonywania zawodu piosenkarki i zdecydowała się rozpocząć karierę solową pod pseudonimem Anna Jantar. Rozkwit popularności następuje po występie podczas XI KFPP w Opolu (1973), gdzie zaśpiewała „Najtrudniejszy pierwszy krok”.

Rok 1974 i 1975 przyniosły liczne nagrody i wyróżnienia na festiwalach w Polsce, ale też w byłej już Jugosławii, Austrii czy Irlandii. Na przykład w Kołobrzegu na VIII FPŻ „Bursztynowa Dziewczyna” staje się laureatką nagrody „Polskich Nagrań” i otrzymuje tytuł „Miss Obiektywu”. W tym czasie przebojem w Polsce staje się najbardziej rozpoznawalna piosenka wokalistki, czyli „Tyle słońca w całym mieście”.

– *Był to prawdziwy róg obfitości: II nagroda jury w Dniu Polskim za wykonanie piosenki „Staruszek świat”; nagroda publiczności za całość występów; nagroda „Głosu Wybrzeża”; nagroda za przebój sopocki „Tyle słońca w całym mieście”. Podobno miałam otrzymać jeszcze piątą nagrodę fotoreporterów – ale byłaby to już przesada* – tak Anna Jantar wspominała swoje laury zdobyte podczas XVI MFP Sopot w sierpniu 1975 roku.

We wrześniu 1975 roku do sprzedaży trafia pierwszy longplay piosenkarki, noszący tytuł „Tyle słońca w całym mieście”. W tym czasie była już przygotowywana następna płyta pt. „Za każdy uśmiech”.

3 marca 1976 roku Anna Jantar zostaje mamą. Córka otrzymuje imię Natalia.

– *Macierzyństwo to coś niesamowitego. Nie masz pojęcia, jak wspaniale jest urodzić dziecko. To jakiś cud zmieniający wszystko, to coś małego i bardzo żywego, wrzeszczącego jest nierozzerwalnie moje, najukochańsze, najważniejsze...* – wyznała mama Natalii.

Po kilkumiesięcznej przerwie Anna powraca do czynnego życia artystycznego. Podczas występu na MFP w Sopocie (1976) otrzymuje Złotą Płytę za longplay „Tyle słońca w całym mieście”. W roku następnym w telewizyjnym „Studio 2” odbiera takie samo wyróżnienie za krążek „Za każdy uśmiech”. W 1977 Anna Jantar nagrywa 3 płytę, nosi ona tytuł „Zawsze gdzieś czeka ktoś...” i zawiera bardziej ambitny repertuar.

Rok 1979 to początek współpracy wokalistki z zespołami Perfect i Budka Suflera. Pierwszym utworem nagrany z Budką Suflera jest (jak się później okazało) proroczy „Nic nie może wiecznie trwać”, który w plebiscycie słuchaczy „Studia Gama” zostaje wybrany piosenką roku 1979. Utwory nagrane w tym okresie trafią na płytę zaty-



łowaną po prostu „Anna Jantar”, która ukaże się w roku następnym. Pod koniec grudnia piosenkarka wylatuje na koncerty do USA, gdzie występuje w klubach polonijnych. Podczas jednego z ostatnich koncertów w USA przypadkiem zarejestrowano na amatorskim sprzęcie słowa Anny Jantar: *Dobry wieczór, witam Państwa bardzo serdecznie. Witam wszystkie dzieci, które przyszły dzisiaj także (...). Drodzy Państwo, witam i w zasadzie niestety, z przykrością stwierdzam także, że żegnam. Ponieważ śpiewam dzisiaj po raz ostatni (...) dla Państwa i bardzo się cieszę i jednocześnie smucę trochę z tego powodu. Zaśpiewam dla Państwa kilka piosenek ze swojego repertuaru. Będą starsze, nowsze... Oczywiście nie zabraknie zupełnych nowości. A rozpocznę piosenką, którą darzę szczególnym sentymentem, jako że*

przypomina mi ona początki mojej pracy estradowej. Piosenka o pięknym tytule, który może być także receptą na szczęście – „Żeby szczęśliwym być”.

14 marca 1980 roku Anna Jantar zginęła w katastrofie samolotu Ił-62 „Mikołaj Kopernik” w pobliżu warszawskiego Okęcia, który leciał z Nowego Jorku. 25 marca 1980 piosenkarka została pochowana na warszawskim Cmentarzu Wawrzyszewskim. Na jej nagrobku widnieje nazwisko Anna Jantar Kukulska.

ALBUMY STUDYJNE

1974 – *Tyle słońca w całym mieście*

1976 – *Za każdy uśmiech*

1977 – *Zawsze gdzieś czeka ktoś*

1980 – *Anna Jantar*

POSTSCRIPTUM

Po tragicznej śmierci Anny Jantar muzycy Budki Suflera zadedykowali artystce piosenkę „Słońca jakby mniej” (płyta „Ona przyszła prosto z chmur”, 1980), która nawiązuje do piosenki „Tyle słońca w całym mieście”.

Halina Frąckowiak nagrała natomiast utwór „Anna już tu nie mieszka”. Do muzyki Jarosława Kukulskiego piękne słowa napisał Janusz Kondratowicz.

Również inni artyści w swoich piosenkach oddali hołd Annie Jantar: Krzysztof Krawczyk w piosenkach „To co dał nam świat” oraz „Lot nr 205”, zespół Papa Dance w „Oceanie wspomnień”, natomiast córka wokalistki – Natalia Kukulska – zadedykowała swej mamie piosenki „Dłoń” i „Po tamtej stronie”. •

ANDRZEJ ELLMANN

5.03.1951–29.04.2017

ELENI



Drogi Andrzeju,

Tak bardzo trudno jest nam przyjąć fakt Twojego niespodziewanego odejścia do wieczności... a tak naprawdę to pewnie długo tego nie przyjmemy i nie zrozumimy. chciałabym Tobie bardzo podziękować za nasze ponad 20 lat wspólnej pracy, a właściwie za naszą fajną relację, w której łączyliśmy pasje, przyjaźń i potrzeby materialne. Nasz zespół to prawie jak rodzina. Wspólnie przeżywaliśmy nasze troski ale i też świętowaliśmy sukcesy nasze i naszych bliskich. A Ty wyjątkowo dzieliłeś się z nami każdą najmniejszą radością związaną z Twoimi najbliższymi. Łącznie z Twoimi pupilami Śnieżką i Gapcią. Bez wątplenia kochałeś swoją rodzinę, Alę oraz Monikę Inez i Tomka z rodzinami. Zawsze z podziwem przyglądałam i przysłuchiwałam się Twoim rodzinnym opowieściom. Miło się tego słuchało, jak

byłeś dumny z życiowych i muzycznych osiągnięć swoich dzieci i wnuków.

Andrzeju,

Kochałeś życie. I dokładnie takie jakie miałeś. Nutki, muzyka, jakaś ciekawa kompozycja, obowiązki domowe i nasze wspólne koncerty, z których zawsze wracałeś to Twojego domu, domu, który kochałeś razem z pociechami.

Dziękuję Tobie za każde przygotowanie do koncertu, zawsze gotowy, skupiony i z tym swoim charakterystycznym zapytaniem przed wyjściem: Helcia, i jaki dziś mamy program? Dziękuję Tobie za Twój humor i dowcip w garderobie, który nie raz rozładowywał napięcie. Dziękuję za każdy wspólnie zagrany koncert ze mną, Kostąsem i Alkiem, którzy zawsze podziwiali Twój talent muzyczny jako muzyka i kompozytora, czego i ja w wielu Twoich utworach doświadczyłam.

Dziękuję za każde wtasame, co w języku greckim oznacza szczęśliwy powrót do domu.

Za wszelkie dobro nam i innym wyświadczone, niech dobry Bóg po stokroć Tobie wynagrodzi.

Kochana Moniko Inez i Tomku z najbliższymi, Mieliście wspaniałego tatusia i dziadka, który był z Was bardzo dumny i bardzo Was kochał.

Kochana Alu, miałeś wspaniałego męża i przyjaciela na dobre i na złe, a Andrzej zawsze darzył Cie szacunkiem i miłością. Ty walczyłaś o niego do końca, i jestem pewna, że gdyby mógł to na pewno chciałby teraz Tobie za wszystko podziękować.

Wspieramy Was i nasze serca są teraz blisko Was.

Andrzeju, nie mówimy żegnaj, ale do zobaczenia!

Spoczywaj w pokoju. •

kolejka dziecięca

Neonowa Maltanka – symbol Poznania świętuje 45 lat



W dniu 21 kwietnia rozpoczął się 45 już sezon na Kolei Parkowej Maltanka (zwanej po prostu Maltanką), która to w obecnym miejscu pojawiła się już w 1972 roku. Historia jej sięga jednak roku 1956, kiedy to znajdowała się Łęgach Dębińskich, a jej trasa liczyła wówczas 1,5 km. Kolejka w tym miejscu funkcjonowała do około 1970 roku, do czasu budowy trasy Hetmańskiej, która z nią kolidowała. Dwa lata później, w 1972 zaczęła regularne kursy już w obecnym miejscu i tak jest do dziś. Przez te 45 lat urosła „awansowała” do miana jednego z symboli miasta. Malownicza trasa tej urokliwej wąskotorowej kolejki (tor 600 mm) wiedzie przez piękne tereny zielone położone w pobliżu północnego brzegu Jeziora Maltańskiego.

Podczas sezonu 2017 Maltanka kursuje codziennie od 10 do 19. W dni robocze co godzinę, a co pół w weekendy i święta. Bilet normalny (w jedną stronę) kosztuje 6 zł, ulgowy to wydatek 4 zł. Podobnie jak i w poprzednich latach, także i w tym roku na miłośników wąskich torów czeka nie lada gratka, czyli tzw. dni pary. Podczas wybranych weekendów w miejsce jednej lokomotywy spalinowej pojawia się parowóz Borsig Bn2t 11458. Ta unikatowa maszyna pochodząca z 1925 roku i w żargonie nazywana borsukiem posiada aż dwie gwizdawki. Warto nadmienić, iż Borsig gościł także na kolei wąskotorowej w Białośliwiu i Żninie. W sezonie 2017 dni pary według planu wypadają jeszcze w następujących dniach: 8, 9, 22 i 23 lipca, 5, 6, 19 i 20 sierpnia oraz 2 i 3 września.

Na koniec należy zaznaczyć, że zaraz po zakończeniu planowego ruchu Maltanki rozpoczyna się generalny remont torów jak i infrastruktury. Dlatego też tegoroczny sezon trwa nieco krócej niż choćby w roku ubiegłym (kiedy to kolejka pojawiała się na torach jeszcze w pierwszych dniach jesieni) i kończy się w dniu 17 września. Planowo już wiosną 2018 urokliwa Maltanka pojedzie po zupełnie nowych torach.

Wcześniej jednak, bo w niedzielę 25 czerwca planowe są wielkie obchody z okazji 45-lecie kolejki. Z racji tego zacnego jubileuszu już 21 kwietnia br. na dachu budynku dworca kolejki przy rondzie Śródka pojawił się duży niebieski neon z nazwą „kolejka dziecięca”, który przez szereg lat (w kiepskiej kondycji technicznej) znajdował się na stacji końcowej Zwierzyniec. Początek pozytywnych zmian tego zabytku techniki nastąpił w roku 2014, kiedy to został zdemontowany, by już wiosną 2015 stać się jednym z eksponatów bardzo ciekawej wystawy „Nocny Poznań w blasku neonów”, która odbyła się w Muzeum Narodowym. Twórcą neonu jest Piotr Heinze, którego innymi znanymi pracami jest m.in. neon Poznańskie Słowiki (z ul. Św. Marcin) czy ten z dachu hali Arena. W zeszłym roku neon z Maltanki przeszedł gruntowny remont, który został wykonany przez jego twórcę. Obecnie, dzięki nowej lokalizacji stał się też doskonale widoczny i ma szansę stać się na nowo jednym z symboli tej urokliwej wąskotorowej kolejki.

tekst i zdjęcia Bartosz M. Kaj

PARKI MIASTA POZNANIA

Z wizytą na zielonym Sołaczu

Dziś na naszych łamach przedstawiamy uznawany przez wielu (nie tylko mieszkańców miasta) za najpiękniejszy teren zielony miasta – Park Sołacki. Miejsce to ma w sobie to „coś”, a położenie w sercu urokliwej willowej i zarazem zielonej dzielnicy – Sołacza tylko owe piękno dopełnia.



Prace związane z budową parku datuje się już na rok 1908, natomiast w 1911 został on udostępniony mieszkańcom miasta. Za projekt odpowiedzialny jest Hermann Kube, który był ówczesnym dyrektorem Ogrodów Miejskich. Park zajmuje obszar 14.63 ha i w porównaniu z olbrzymim Parkiem Cytadela (powierzchnia około 100 ha) jest stosunkowo niewielki. Stanowi fragment zachodniego klina zieleni, w skład którego wchodzi także m.in. dużo mniejszy Park Wodiczki (również zlokalizowany na Sołacz) czy największe jezioro miasta – Kierskie.

Park Sołacki został urządony w krajobrazowym stylu angielskim. Swoją nieodpartą urok zawdzięcza przede wszystkim sztucznie stworzonym Stawom Sołackim powstałym poprzez spiętrzenie wód potoku Bogdanka (przepływającego przez cały teren parku). Pomiędzy stawami znajduje się duży drewniany most – miejsce bardzo lubiane przez fotografów jak i... pary młode. W północnej części parku przy przystanku tramwajowym Sołacz znajduje się tzw. Zielona budka. Jest to dawna drewniana poczekalnia tramwajowa, która powstała na początku XX wieku i reprezentuje styl szwajcarski. Obecnie obiekt należy do Polskiego Związku Wędkarskiego, który dba o ten ciekawy zabytek.

Na terenie parku w pobliżu stworzonych w latach 90-tych dwóch mniejszych zbiorników wodnych w roku 2008 roku stanęła budząca duże kontrowersje rzeźba „Dwie kobiety” autorstwa Sylwestra Ambroziaka. W pobliżu parku, przy ul. Pomorskiej znajduje się przepiękny neoklasycystyczny kościół pw. św. Jana Vianneya, ale więcej o tej świątyni w kolejnych numerach.

Park Sołacki to do dziś miejsce przyciągające rzesze mieszkańców i będący zarazem enklawą zieleni. Warto dodać, że park wraz z dzielnicą willową Sołacz figuruje w rejestrze zabytków już od 1983 roku. Poniżej kilka fotografii z tego uroczego zielonego kątka Poznania.



tekst i zdjęcia Bartosz M. Kaj